

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:  
20, rue Legendre, 20 — PARIS (17)  
Métro: Villiers, Tel.: WAG 00-45

ROK XII — NR 51/52 (558/559)  
31 GRUDNIA — 31 DECEMBRE 1958.

CENA  
PRIX **75 fr.**

## NA ŚWIĘTO BOŻEGO NARODZENIA

**DRODZY KOLEDZY,**  
DOROCZNYM zwyczajem zwracam się do Was w przededniu świąt Narodzenia Pańskiego, kiedy wszystkich ludzi dobrej woli łączy wspólna, odwieczna tradycja tego wielkiego święta chrześcijańskiego.

Dobiega końca jeszcze jeden rok naszego pobytu na obczyźnie, naszego oczekiwania, aby dla naszej umęczonej Ojczyzny spełniły się słowa: Bóg się rodzi, moc truchleje.

Upłynęło już 19 lat od czasu zapanowania na ziemiach polskich najcięższej przemocy. Wbrew pochopnym złudzeniom i przesadnej nadziei sprzed dwóch lat, więzy niewoli nadal trwają. Krajem rządzą ci sami wierni wykonawcy woli Sowietów.

Niedawno obchodzona przez nas czterdziesta rocznica odzyskania niepodległości jest i powinna pozostać źródłem otuchy i pobudką do właściwej oceny naszej przyszłości. Tak jak wtedy, widzimy i dzisiaj, że sytuacja międzynarodowa, pomimo pozornych cech stałości, nosi w sobie wyraźną zapowiedź zbliżenia się nowych wydarzeń na świecie. Nikt nie może zaprzeczyć, że istotą obecnego położenia jest narastanie dwóch wielkich sił, całkowicie sobie przeciwnych, z których jedna wyraźnie zapowiada, że celem jej jest zapanowanie nad całym światem. Na naszych oczach kształtuje się i przybiera to nieubłagane zmaganie, obejmujące dzisiaj już wszystkie niemal kraje na ziemi.

W tych warunkach obowiązki nasze są wyraźne: musimy być wiernymi i nieustraszczeni orędownikami woli narodu wobec świata wolnego. Nie ma miejsca wśród nas dla słabych duchem, obojętnych lub gotowych do pogodzenia się z wrogiem. Musimy utrzymać i rozwijać ducha walki o wolność Polski i wytrwać wśród wszystkich przeciwności, tak właśnie jak utrzymuje tego ducha naród w Kraju, pomimo tylu lat wrogiej okupacji. Wiare i ufność możemy i powinniśmy czerpać przede wszystkim z postawy młodego pokolenia narodu. Pomimo że wyrosło ono już pod rządami zaborczymi i w ustroju komunistycznym, wiemy dobrze, że nie zatraciło przywiązania do wolności i niepodległości, nienawidzi Sowietów i jest odporne na propagandę ideologii komunistycznej.

Jak co roku, niebawem zasiądziemy do stołów wigilijnych, łącząc się myślami z wszystkimi naszymi bliskimi, a przede wszystkim skierujemy serdeczne życzenia do naszych Rodzin w Kraju. Wszystkim Kolegom - Żołnierzom i ich Rodzinom składam z serca idące życzenia świąteczne i noworoczne, prosząc Boga o przyspieszenie dnia, kiedy dobra nowina Narodzenia Pańskiego stanie się znowu radośnym świętem na wszystkich ziemiach wolnej i niepodległej Rzeczypospolitej.

GENERAL W. ANDERS

Londyn, w grudniu 1958 r.



BÓG SIĘ RODZI, MOC TRUCHLEJE...

WITOLD ZAHORSKI

## Łamiąc się opłatkiem

Rzym, w grudniu  
PZEBYLIŚMY wiele pokuty i długie lata tułaczki, nie jesteśmy we własnym domu i nie znaczymy krzyża na jego progu. Jeszcze nie.

Ileż to już wigilii na obczyźnie! I jakie one były! I gdzie!

Lata wojny i okupacji, zwycięskich bitew czy upajającego pierwszym, jak wiosna, powiewem wolności powstania, czarnych dymów z krematoryjnych kominów i rażącej bieli syberyjskich śniegów, pociągów w nieznane, granic pilnie strzeżonych, rozłąki, głodu, poniewierki.

Ale i wiary, wiary, wiary. Wiary, że „może już następna wigilia”...

Tak — pamiętam — życzyliśmy sobie w celi sowieckiego więzienia, kiedy to starannie ubierane przez szereg dni i wysuszone skórki czarnego chleba służyły nam za najbielszy opłatek. I tak życzyliśmy sobie na któreś tam z kolei polskiej wigilii w Rzymie w zeszłym roku. Gdy szliśmy potem na polską pasterkę do polskiego kościoła w centrum Wiecznego Miasta — nie skrzy piał nam śnieg pod butami, księżyc stał się z kopuły na kopułę barokowych świątyni rzymskich, gwiazdy migotały te same co nad Polską, ale i-

kieś inne — bo nigdy tak nie odczuwa się obecności przygodnego środowiska, jak w wigilijny wieczór. Choćbyś był jak najbardziej zrosniony ze swoją nową rodziną, z nowymi przyjaciółmi, ze społeczeństwem, wśród którego zostałeś sobie dom czy jego namiastkę — w wieczór wigilijny choć na chwilę odejdziesz od tego wszystkiego, wrócisz w dawne progi dzieciństwa czy młodości, kolęda przeniesie cię w inny świat, twój prawdziwy świat.

Oto zasiadamy za stół wigilijny ciągle w warunkach takich, jak przed rokiem, jak przed kilkoma laty. Tułacza wigilia ludzi, których tułaczka jeszcze nie skończyła się. Ale im bardziej uswiadomimy sobie cel tułaczki,

tym łatwiejsza ona jest do zniesienia. A nasz cel — cel polskich uchodźców politycznych — jest jasny. Był jasny zaraz po 1939 roku, jest jasny i dziś. Dwie okupacje zostały zamienione jedną, bo pod okupacją jest Polska na-



dal. Mimo różnych pozorów względnej wolności. Wiemy, że za te skrawki wolności osobistej, za kilkadziesiąt paszportów zagranicę, za kilka nowych pism omtanych cenzurą — Polska płaci kompletnym brakiem swej niezależności, swej polityki zagranicznej, płaci kompletną zależnością od Rosji sowieckiej, kraju, gdzie słowo nie staje się ciałem, a służy tylko jako część składowa hasła bez pokrycia.

Oto jeszcze jedna uchodźcza wigilia. Prawdopodobnie nie ostatnia.

Nie wstydzmy się rozrzewnienia w taki dzień. Nie wstydzmy się naszej nieustannej tęsknoty za Krajem. I nie ukrywajmy wiary, wiary w to, że będzie jeszcze naszym udziałem prawdziwa polska wigilia, pod polskim niebem i na polskiej ziemi.

A tymczasem złożymy tak znane nam życzenia: „Wszystkiego najlepszego. Najmilsi, tu i tam, oby już następna wigilia”...

PINIE nie są sosnami, cyprysy jodłami, a eukaliptus brzozą. Niebo tu jest inne, inna ziemia, inny krajobraz, inni ludzie, choć kultura ta sama i wiara ta sama. A ponieważ są inni ludzie, więc i inne obyczaje ich cechują.

Zwyczajnie świąteczne we Włoszech są inne, o wiele inne niż u nas. Nie ma tego uroku, powiedziałbym — mistycyzmu, tak charakterystycznego dla Wigilijnej Tajemnicy, świętowanej w pewnym kraju nad Wisłą.

Dokończenie na str. 5-tej

Współpracownikom, Przyjaciółom, Czytelnikom oraz wszystkim Rodakom w Kraju i na wygnaniu

SERDECZNE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE

składa

„SYRENA”

## Między Wilią a Niemnem

BARDZO przereźdzone zostały szeregi duchowieństwa w archidiecezji wileńskiej. Stosunkowo najlepiej przedstawia się sytuacja na tym małym obszarze, który został włączony do Litwy. Nie wiadomo, ilu jest księży polskich, ale w r. 1954 w całej t.zw. Republice Litewskiej było 741 księży. Oznacza to wprawdzie ogromny spadek, bo w roku 1940 było 1645 księży, ale bądź co bądź jak na stosunki sowieckie jest to niezłe, a w tej cyfrze jest kilkudziesięciu księży polskich.

Znacznie gorzej jest w t.zw. Sowieckiej Białorusi. Liczba czynnych parafii zmniejszyła się ogromnie, gdyż niektóre kościoły zostały zburzone lub spalone podczas wojny, część skonfiskowała bolszewicy, a niektóre kościoły stoją zamknięte z powodu braku księży.

W obszarze między Niemnem a Wilią, na terenie woj. wileńskiego i nowogródzkiego, długa jest lista kościołów zburzonych lub opustoszałych. Z bar dziej znanych miejscowości nie posiada kościoła Krewa, wstawione pierwszą unią polsko - litewską (r. 1385). W Osmianie bolszewicy urządzili skład ropy, w Smorgoniach kościół zamieniono na magazyn nafty i benzyny, w Juraciszkach świątynię przekształcono na „Dom Kultury”. Skład towarów urządzono także w kościele w Wilejce.

## PIERWSZY PREZYDENT PIĄTEJ REPUBLIKI

W chwili gdy tuż przed oddaniem numeru świątecznego do druku piszemy pośpiesznie te słowa, znane już są wyniki wyborów prezydenckich we Francji z dnia 21 grudnia br.

Generał de Gaulle odniósł wielkie, bezapelacyjne zwycięstwo. Zryw narodu francuskiego, który znalazł swój wyraz w wynikach referendum i wyborów parlamentarnych — pogłębił się i zaakcentował jeszcze bardziej, dążenie narodu do prawdziwej odnowy życia publicznego uwytatniło się jeszcze wyraźniej.

Bo zważmy tylko. Głosowanie nie było powszechne. Główną rolę w wyborach prezydenckich odegrali radni miejscy i wiejscy oraz ich delegaci. Było ich aż 76.389 na ogólną liczbę uprawnionych do głosowania 81.508. Nie należy zaś zapominać, że radni ci pochodzą z wyborów samorządowych, które się odbyły we Francji w 1953 r., a więc w innym zupełnie klimacie politycznym, w okresie gdy system przetargów partyjnych był u szczytu swego rozwoju, skazując państwo na postępującą niebezpiecznie dekompozycję.

I ci właśnie przedstawiciele samorządu terytorialnego stanowili decydującą siłę w wyborach niedzielnych. Ich wynik — to wielki triumf, to wspaniałe zwycięstwo idei odnowy, zapoczątkowanej przez gen. de Gaulle'a.

Istotnie, w samej tylko metropolii na gen. de Gaulle'a padło 78,50 procent oddanych głosów. Oznacza to, że idea odnowy ogarnęła nie tylko „szarego człowieka” we Francji, znużonego i buntującego się przeciwko dotychczasowemu chaosowi politycznemu, lecz także tych, którzy w tym systemie czuli się niedyskomfortnie.

Komuniści i tym razem ponieśli druzgoczącą klęskę. Ich kandydat uzyskał zaledwie 13,05 procent oddanych głosów.

Jeszcze większą klęskę ponieśli ci, którzy występowali z opuszczonej przyłbicy. Na tak zw. „Unię sił demokratycznych” padło zaledwie 8,46 procent głosów. Raz jeszcze przedstawiciele narodu francuskiego zmanifestowali swoją niechęć do ludzi, którzy nie mają odwagi przyznać się otwarcie do tego, kim są.

Triumf gen. de Gaulle'a w departamentach i w terytoriach za morskimi jest również całkowity, większy nawet niż w metropolii: 81,45 procent i 97,04 procent.

Tak więc, gdy w dniu 8 stycznia 1959 r. gen. de Gaulle obejmie najwyższy w państwie urząd — Prezydenta Republiki Francuskiej i Wspólnoty Francuskiej, sta nie się on, zgodnie z wolą narodu i zgodnie z przepisami nowej konstytucji — nie tylko symbolem, ale głównym realizatorem odnowy wewnętrznej życia politycznego we Francji i odbudowy jej pozycji międzynarodowej.

Wolni Polacy we Francji składają mu hołd należny i wyrażają swą głęboką wiarę w przyszłość swej przybranej ojczyzny, w przyszłość bratniego narodu francuskiego.

St. P.



PRZYGOTOWANIE DO ŚWIĘTA RODZINNEGO.

FOP 2156

W.J.G.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

# ADWENT 1958

**B**rutalne względy materialno-techniczne sprawiają, że przegląd polityczny niniejszy, jakkolwiek do numeru „świątecznego” przeznaczony, napisany być musi wcale wcześniej — w adwencie, co zresztą do niewesołej rzeczywistości międzynarodowej wcale udatnie pasuje.

Widziany przez pryzmat wydarzeń dni ostatnich, rok 1958 nasuwa niedoceniony powód do melancholijnej zadumy. Dnia 14 grudnia ministrowie spraw zagranicznych Francji, Federalnej Rep. Niemieckiej, Zjednoczonego Królestwa i St. Zjednoczonych, zebrani w Paryżu, przedyskutowali sprawę Berlina i w szczególności notę Związku Sowieckiego skierowaną do nich w dniu 27 listopada b.r. Trzej ministrowie mocarstw zachodnich stwierdzili że jeszcze swój zamiar zdecydowanie utrzymania w pełni swojej pozycji i swoich uprawnień w Berlinie, łącznie z prawem swobodnego dostępu. Uznali oni za nienadające się do przyjęcia jednostronne wypowiedzi nie przez rząd Sowiecki jego zobowiązań w stosunku do rządów Francji, Zjednocz. Królestwa i St. Zjednoczonych dotyczących ich pozycji w Berlinie i swobodnego dostępu do tego miasta, odrzucając jednocześnie zamiar rządu Sowieckiego przekazania władzom niemieckim zony sowieckiej swoich zobowiązań w zakresie tych uprawnień. Ugodniono jednocześnie główne punkty odpowiedzi, której cztery państwa udzielią na notę z dnia 27 listopada.

W dwa dni później piętnastu ministrów Spraw Zagranicznych reprezentujących swoje państwa w Radzie N.A.T.O. (Atlantyckiej Wspólnoty Obrony) ogłosiło, również w Paryżu, komunikat zaaprobowany jednomyślnie w tej samej sprawie. Rada NATO przyłączyła się całkowicie do pozycji zajętej uprzednio przez ministrów mocarstw okupacyjnych i Federalnej Rep. Niemieckiej, odrzucając i potępiając propozycje i zamiary ZSRR. Rada wyraziła jednocześnie poglądy, że zagadnienie Berlina może być rozwiązane tylko w ramach porozumienia ze Związkiem Sowieckim na temat całokształtu sprawy Niemiec, przypominając, że mocarstwa zachodnie zgłaszały niejednokrotnie gotowość do rozpatrzenia tego problemu.

Takim jest, na rok bieżący, końcowy wynik dotychczasowych posunięć polityki Kremla na tle specjalnie jaskrawego epizodu. Trudno zapomnieć, że dzięki wielkim sukcesom „sputników” i udanej w związku z tym imprezie obchodu czterdziestolecia rewolucji, rząd sowiecki otworzył zabiegi tegoroczne syrenimi notami Bułgania wzywającymi do spotkania na „szczycie”. Dziwacznym obrotem rzeczy, odbyło się pod wodzą Chruszczowa, coś jak pogłębienie chaosu w zbrodniczej polityce. W przesadnej gorliwości do konsolidowania komunistycznego bloku nie cofnięto się przed morderstwem Imre Nagy i jego towarzyszy, co musiało wywołać w wolnym świecie odruch potępienia i wstrętu. Jednocześnie prawie podjęte wicherzenia na Bliskim Wschodzie rozegrano jaknajbardziej niefortunnie, grzebiąc w ostepach Narodów Zjednoczonych możliwości upragnionych rokowań na szczycie. Nieco później zakończyły się fiaskiem ataki na chińskie wyspy przybrzeżne, budząc gorycz w Pekinie i rozczarowanie na Kremlu.

Często się zdarza, że w jakimś szczególnie wymownym więcej odbija się prawdy, niż w szeregu ważkich posunięć. Może najdokładniej streszcza właściwość polityki prowadzonej w tym roku przez Chruszczowa oświadczenie Bułgania złożone w tych dniach na posiedzeniu Komitetu Centralnego partii komunistycznej ZSRR. Bułganin rzekł: „Gdy w 1957 r. działalność antypartyjna Malenkowa, Kaganowicza, Mołotowa i Szepiłowa szybko się rozwinęła, przyłączyłem się do nich, współdziałając z nimi i stając się ich zwolennikiem i wspólnikiem. Jako prezes rady ministrów stałem się nie tylko ich zwolennikiem, ale także, formalnie ich zwierzchnikiem. Zbierali się oni zresztą w moim gabinecie”. Dopiero stopniowo, wolno myślący Bułganin dostrzegł „zgniliznę antypartyjnego bagna, w którym się znajdował”. Czyżby gen. Sierow był aż tak czujny, że ostrzegł o groźącym mu podobnym niebezpieczeństwie samego Nikitę Chruszczowa?

Tak jak byłoby błędem doszukiwać się w wydarzeniach na komunistycznym Kremlu normalnych logicznych powiązań, tak samo fakty dotyczące komunistycznych Chin należy traktować z całym poszanowaniem ich lokalnego kolorytu. Potworny pomysł odwołania całego proletariatu przy pomocy komun, zainicjowany przez Mao Tse-tunga jest niewątpliwie konsekwentnym rozwinięciem komunistycznej doktryny. Być może ludzie doktrynę tą wyznający nie zastępują na nic lepszego, jak na skoszarowanie ma sowe, dla każdej z płci oddzielnie, na przydzianie w kombiniezonny robotnicze zupełnie identyczne dla wszystkich mężczyzn lub każdej z kobiet, na życie wspólne i na cotygodniowe reglamentowane spotkania małżeńskie. Obyczaj religijny oparty dotąd na kulcie przodków i poszanowaniu grobów każdej rodziny na gruncie przez nią posiadanej, ma być uszczuplony dla zmarłych przez mogiły zbiorowe komun, umożliwiające przez skasowanie grobów dawnych powiększenie powierzchni produkcyjnej. Troska o wychowanie możliwe licznych dzieci dla rodziców odpada. Zajmą się nimi, aż do całkowitego uszczuplenia, dla celów państwa...

szkoły. Kontakt z nimi rodziców nie jest potrzebny. Nie trzeba dodawać, że po za pracą zawodową reglamentowana przez komunę, obejmie ona także pieczę nad całym czasem wolnym wypełnianym propagandą i rozrywką. Przeniesienie organizacji „komunalnej” także do miast pozostaje na razie w sferze projektu. Pomimo postępów dokonanych przez komunizm w ZSRR trudno by się dziwić, że Chruszczow nie czuje się jeszcze przygotowanym do wprowadzenia in siebie tego rodzaju komun. Widząc się więc zdystansowanym poszukuje on, być może, tak jak w wypadku Jugosławii, formuły pozwalającej na utrzymanie dobrych stosunków wzajemnych państw, pomimo różnic w doktrynie zachodzących pomiędzy partiami. Odpowiadałoby temu ograniczenie funkcji oficjalnych Mao do działalności na czele partii, ogłoszone w dniu 16 grudnia.

W tych samych właśnie dniach odbył się na skrajnym zachodnim cyplu komunistycznych władz spektakl także potworny, chociaż mniej ponury, w postaci niemieckiej „wizyty przyjacieli” w PRL. Aby ją należycie zrozumieć należy przypomnieć, że Cyranokowiczi i Gomulce należała się pewna kompensata za dwutygodniowe błądzenie po ZSRR, za satysfakcję jaką wyrzuli z powodu ginącej polski Lwowa i penetracji moskiewskiej w Karpaty, aż po Koszyce. Skierowano przeto do Warszawy i Gdańska cały pluton naczelny komunistów niemieckich, dla głoszenia analogicznych wyrzeczeń. Groteska polega na tym, że tak jak nie ma Polaka, któryby upoważnił Gomulkę do solidaryzowania się z sowieckim odrzuceniem ukłałów poczdamskich, nie ma także Niemca, któryby skłaniał Ulbrichta do wyrażania radości z powodu polskości Szczecina. Mandaty do zabierania głosu w sprawach narodowych zostały tym czołowym towarzyszom nadane wyłącznie przez Kreml i wyrażali oni jedynie poglądy Kremla. Sytuacja byłaby o wiele jaśniejsza i łatwiej zrozumiała, gdyby Ulbricht i Bolz przemawiali w imieniu Polski Ludowej, a Cyranokowicz z Gomulką w imieniu NRD.

Rok obecny, rozpoczęty politycznie pod znakiem jednotonowego „Sputnika”, ma u swego schyłku wprowadzenie w dniu 19 b.m. na orbitę w okół ziemi czterotonowego „Atlasa”; fakt ten ma już znaczenie wojskowe i jest cennym uzupełnieniem deklaracji odmownej NATO w sprawie Berlina.

Czwartą niedziela adwentu przyniosła wybór na Prezydenta Francji gen. Charles de Gaulle'a. Jest to zamknięcie cyklu posunięć ustrojowych i punkt wyjścia dla wielu nowych dokonań. Bez obawy błędów można stwierdzić, że wszystkie wydarzenia omawiane przez nas w niniejszym przeglądzie, jakkolwiek głośno stanowią bardzo niewiele w porównaniu z tym, co od maja b.r. dokonane zostało we Francji.

Kolejną podkreślaliśmy w tym roku spokojnie dokonywane dzieło umacniania Zachodu, kroczenia naprzód najbardziej europejskiego z mocarstw. Po latach zastoju, w krótkim czasie zrealityzowane zostało tak dużo, że znowu wielka Francja zajmuje miejsce czołowe. Temat ten zamyka najgodniej tydzień przedświąteczny.

W.J.G.

TADEUSZ NORWID

# S O W I E T I C A

**S**ztokholm, w grudniu DYMISJA gen. Iwana Sierowa z równego ministrowi ZSRR stanowiska przewodniczącego Komitetu Bezpieczeństwa Państwa (KGB) jest zdarzeniem pierwszorzędnej wagi świadczącym o zbliżających się szybko komplikacjach wewnętrzno politycznych w Sowietach, komplikacjach dużego wymiaru.

Jakkolwiek Sierow nie miał tej samej władzy, co jego poprzednicy — Beria, Jagoda czy Jeżow, koncentrował on w swoim ręku o wiele większą faktyczną władzę niż by to wynikało z jego tytułu i stanowiska. KGB — jest w pierwszym rzędzie policją partii. Tyłko partia może w Sowietach prowadzić politykę, logiczne jest więc, że policja polityczna podlega przede wszystkim partii, a dopiero w drugim rzędzie państwu, które także jest jednym z organów partii. Władza Sierowa rozciągała się więc nie tylko na Sowiety, ale na cały świat — na wszystkie kraje, gdzie istnieją partie komunistyczne lub sowieckie placówki zagraniczne. KGB było i jest stosem pacieryczym wszelkiego typu międzynarodówek komunistycznych i gwarantem dyscypliny wewnętrznej, w tych organizacjach. Z tego wynika, że zagraniczna sieć KGB — w świecie wolnym — stanowi czołową awangardę sowieckiego komunizmu w wolnym świecie i jedno z głównych narzędzi zimnej wojny.

Jeszcze większy zakres władzy posiada KGB wewnątrz Sowietów. Prócz naszego powszechnie aparatu tajnej policji, największej potęgi w totalitarnym państwie — KGB posiada własne organy sądowe - administracyjne, własny urząd ekonomiczny, zaś szef KGB z urzędu jest ponownie od r. 1957 dowódcą armii bezpieczeństwa wewnętrznego, uzbrojonych po zęby i w stanie stałego pogotowia wojennego oddziałów elitarnych, gotowych każdej chwili do użycia celem stłumienia wszelkich masowych objawów niezadowolenia ludności, jak demonstracje, strajki, ruchy kontrowalucyjne itp. KGB odgrywało zawsze kluczową rolę jako siła ostatecznie stojąca za wszelkimi rewolucyjnymi pałacowymi na Kremlu i uniemożliwiająca ich praktyczne przeprowadzenie. Jedynie raz została wzięta armia regularna w związku z takim przewrotem — mianowicie przeciw Berii, w r. 1953. Przy czystce grupy Mołotowa w r. 1957 siłę reprezentował marszałek Żukow, ale wówczas podlegała mu nie tylko armia sowiecka, ale także wojska KGB, które dopiero po usunięciu Żu-

kowa z prezydium na jesieni 1957 przeszły pod komendę KGB i Sierowa. W ostatnich miesiącach Sierow reprezentował skupienie sił Nr 2, po Chruszczowie. Były to oczywiście różne gatunkowo ośrodki siły, ale oba grały w polityce wewnętrznej.

**K**OMUNIKAT o odejściu Sierowa był lakoniczny, dosłownie tak samo sformułowany, jak komunikat o odejściu innego kata — b. min. MWD, S. N. Krugłowa w r. 1955, również w związku „z przejściem na inne stanowisko”. Od tej pory o Krugłowie nie wiadomo, ani razu prasa sowiecka nie wspominała jego nazwiska. Los Sierowa może (choć nie musi) być podobny.

Dokoła dymisji Sierowa powstało wiele spekulacji. Najlogiczniejsze z nich są te, które wychodzą z założenia, że głównym powodem dymisji była utrata zaufania do Sierowa ze strony Chruszczowa, mówiąc b. ogólnie. W państwie totalitarnym szef policji politycznej tak długo może pozostać na swym stanowisku, jak długo posiada kompletnie zaufanie rozstrzygającego czynnika w partii i państwie. A dziś tym czynnikiem jest Chruszczow. Najbardziej prawdopodobną wersją co do przyczyn dymisji Sierowa jest ta, która mówi o wzrastających nastrojach stalinistowskich wśród kadry KGB i jej sympatiach dla opozycji, t.zw. dogmatyków z Sułowem (i być może Mołotowem) na czele. Nie byłoby w tym nic dziwnego. Kadra ta przy powrocie do rządów stalinistów zyskałaby na prestiżu i władzy, musi jej być tęskno do stanowiska „państwa w państwie” jak to było za czasów Berii i Stalina.

**T**RZEBA pamiętać, że KGB powstał w marcu 1954, w trzy miesiące po za mordowaniem Berii i miążdżącej czystce w jego b. ministerstwie MWD, do którego wcielono również po śmierci Stalina b. Min. Bezp. Państwa (MGB). Przycięcie KGB do Rady Ministrów wynikało z intencji ówczesnego postalinowskiego kolektywu władzy — aby szef KGB, t.j. Sierow, mógł odbierać rozkazy tylko w formie uchwały Rady Ministrów, t.j. w praktyce t.zw. małego rządu, co do składu osób identycznego z Prezydium CK. W ten sposób epigoni stalinizmu chcieli się zabezpieczyć przed sytuacją, w której jeden z członków prezydium CK mógłby użyć KGB przeciw innym swoim kolegom z Prezydium. Było to coś w

rodzaju wzajemnej asekuracji bezpieczeństwa osobistego b. członków stalinowskiego Politbiura.

Jak widać z przebiegu wypadków w ostatnich latach, ta asekuracja nie na wiele się przydała. Mimo niej — Chruszczowowi udało się usunąć Mołotowa, Kaganowicza, Malenkowa, Bułgania, Saburowa, Pierchuwina i Szepiłowa (2/3 członków b. Politbiura z r. 1952). Jaką rolę w tych czystkach odgrywał Sierow — nie wiadomo. W każdym razie wszyscy usunęli, prócz Malenkowa żyją. Wygląda więc na to, że Sierow nie chciał, czy nie mógł, wychodzić poza ramy kompetencji szefa KGB, i że to ograniczenie władzy Chruszczowa nad Sierowem m.in. spowodowało dymisję cekiisty.

**A**LE istnieje i druga wersja co do tej dymisji, która zresztą nie wyklucza pierwszej. Według niej, niewyjaśniona w szczegółach śmierć Malenkowa, w Kazachstanie, do której w tej czy innej formie miało się przyczynić KGB — wywołała taką burzę opozycji przeciw Chruszczowowi w kierowniczych warstwach partii, że Chruszczow, który najprawdopodobniej był właściwym sprawcą tej śmierci, czuł się zmuszony do zrobienia z Sierowa kozła ofiarnego. Widocznie wylanie z prezydium sekretarza partii Kazachstańskiej, Bielażewa, nie zadowoliło opozycję. Szczyt partii przez śmierć Malenkowa poczuły się zagrożone osobiście, śmierć Malenkowa była dla nich oznaką, że gwarancje bezpieczeństwa osobistego, dane gorze partii po śmierci Berii stają się niepewne. Puszczanie płazem śmierci Malenkowa (uchodzi ona dziś za pewną w państwach satelickich) stwarzałoby niebezpieczny precedens, prowadziłoby do nieograniczonej dyspozycji Chruszczowa nad KGB, a więc do odrodzenia stalinowskiego terronu i do jednoosobowej władzy dyktatorskiej Chruszczowa.

\*\*\*

**J**ESLI obie te wersje są prawdziwe — a wydają się przynajmniej bardzo prawdopodobne na tle aktualnego rozwoju wewnętrzno - politycznego w Sowietach — to Chruszczow przegrał najważniejszą rundę w walce z opozycją. Pewne wyjaśnienie sytuacji może przynieść nominacja następcy Sierowa i jeśli to będzie kreatura Chruszczowa, po dobna do obecnego ministra MWD, Dudorowa — to znaczyć będzie, że opozycja chwilowo dała się zaspokoić symboliczną głową Sierowa na tacy i że wewnętrzno - partyjny kryzys zaufania do sekretarjatu CK i rządu t.j. Chruszczowa, spowodowany śmiercią Malenkowa, został chwilowo zażegnany. W każdym razie jednak Chruszczow będzie miał jeszcze bardziej utrudniony dostęp do niepodzielnego władania maszyną terronu — dostęp, który decyduje o stanowisku dyktatora w Sowietach. Nie byłoby to dziwne, gdyby Chruszczow czuł się po tym wszystkim w swej pozycji poważnie zagrożony. Wielkie demonstracje robotników w Charkowie i innych miastach Rosji w listopadzie i grudniu, podczas których wołano „won z Chruszczowem”, o których wiadomości świeżo przeniknęły za żelazną kurtynę — na pewno też nie wpływają uspakajająco na Nikitę.

\*\*\*

**J**EDNAK wygląda na to, że Nikita latwo nie skapituluje przed opozycją, i że stara się być gotów do wszelkiej z nią rozprawy — nawet gdyby część jej miała odbyć się na ulicy. Organ Związków Zawodowych „Trud” w dniu 22/XI podaje fascynującą wiadomość o utworzeniu w Leningradzie i innych miastach oddziałów nowego rodzaju milicji. Będzie ona miała zadanie „utrzymanie porządku na ulicach, w teatrach, klubach, w komunikacji miejskiej i innych miejscach zgromadzeń publicznych”. Nowa policja będzie składała się z ochotników, aktywistów partyjnych, robotników i urzędników — uzbrojonych i umundurowanych oczywiście. Jeszcze jeden rodzaj policji — jakby jej było w Rosji za mało. Niby przeciw chuliganom, jak gdyby chuligni nie byli nowością w Rosji. Ta nowa policja robotnicza zdawnie przypomina bojówki partyjne, zdolne do obsadzenia fabryk i ważnych budynków — w razie potrzeby. Dowodzą nią będą: lokalny szef Komsomolu, „instruktorzy partyjni” oraz miejscowy szef organizacji przysposobienia wojskowego DO SAAF.

Krótko mówiąc, wierni Chruszczowowi i wyszkoleni w walkach ulicznych partyjni. Sytuacja w Sowietach, sądząc z tych zdarzeń, może się rozwinąć bardzo interesująco. Kto wie, czy jeszcze nie przed XXI Zjazdem partii w styczniu 1959.

\*\*\*

**M**IMO niepowodzeń na froncie wewnętrznym - partyjnym Chruszczow zainkasował dużą wygraną w polityce zagranicznej. Ustąpienie Mao Tse-tunga, wrzenie i bałagan w Chinach w związku z buntem ludności przeciw nowym komunom ludowym, rozgardziasz w partii chińskiej — pobawiają wrogów Chruszczowa — stalinistów — najwęższej opoki: efektywnego poparcia partii chińskiej, Mao, jak wynika z wiadomości otrzymanych w chwili gdy piszemy te słowa, zwalił się z trzęskami z piedestału pierwszego ob'oga światowego komunizmu i „reformatora rolno”. Na razie, koło piedestału jest kurz i nic nie widać, chyba — usmiechniętą radośnie głębą Nikity do takiego niespodziewanego prezentu gwiazdkowego.

## Jak mieszkają reżymowi dygnitarze

**O**SOBA, która ostatnio przybyła z Polski, gdzie pracowała przez długi okres jako wychowawczyni dzieci jedne go z ministrów, opowiada, że wszyscy członkowie rządu mają mieszkania służbowe. Mieszkania te znajdują się prawie bez wyjątku w tradycyjnie wykintnych dzielnicach Warszawy, a więc na Filtrowej, Klonowej, przy Al. Róż, na Mokotowie i na Saskiej Kępie...

W każdym ministerstwie jest dział

gospodarczy i ten dział zajmuje się m. in. także z poszukiwaniem mieszkań dla przedstawicieli swego resortu. Oto jak zdobywał i urządził swą willę towarzyszy Babiński, były minister budownictwa przemysłowego.

Willi przy ul. Filtrowej używana była zaraz po wojnie jako hotel dla przyjeżdżających do stolicy inżynierów z wydziału kotłów przy wspomnianym wyżej ministerstwie. Lokatorów z tej willi usunięto i przerobiono ją kompletnie zgodnie z wymaganiami ministra. Po przebudowie willi wyglądała następująco: na parterze i na pierwszym piętrze było 210 metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej. Na parterze mieściły się cztery pokoje, łazienka i kuchnia. Największy był pokój dziecienny, takich rozmiarów, że dzieci jeździły po nim na rowerze i na wrotkach. Ściany tego pokoju udekorowane były rysunkami polskich grafików, przedstawiającymi sceny z życia zwierząt. Jedną ze ścian była tafła szklana, wychodząca na taras. W pokoju mieściło się olbrzymie akwarium, terrarium z żółwiami i klatki z papugami... Obok mieściła się jadalnia: meble z orzechka kaukaskiego, zarekwirowane na Ziemiach Zachodnich. Dalej t.zw. różowy gabinet, bo wszystkie meble utrzymane były w różowym odcieniu, i pokój dla służby, który stał pusty, bo dla służby budowano osobne pomieszczenie koło garażu.

Przez schody wchodziło się do hallu na pierwszym piętrze. Stały tam meble wiklinowe, sprowadzone z wystawy paryskiej. Komplet kosztował ponad piętnaście tysięcy złotych. Gabinet ministra na pierwszym piętrze zastrany był bucharskimi dywanami, w oknach firanki nylonowe, przywiezione z Ameryki, na ścianach obrazy znanych malarzy polskich, sprowadzone z Muzeum Narodowego i „Zachęty”. Z gabinetu tego przechodziło się do pokoju muzycznego: olbrzymi Bechstein, magnetofon z dużym zbiorem płyt, aparat radiowy „Radiola” i drugi „Beethoven”, akordeon, bałajka i gitara... Dalej — sypialnia ministra, mały salonik i łazienka (niebieska, w odróżnieniu od białej na parterze). Na drugim piętrze: hall, łazienka, kuchnia i trzy niewielkie pokoje...

Czy mieszkanie Babińskiego wyróżniało się specjalnie spośród mieszkań innych dygnitarzy? Jest to mieszkanie w tych sferach raczej przeciętne. Większą willę zajmuje Popielowa (żona byłego ministra Żeglugi), Rustecy przy ulicy Czerwonego Krzyża zajmują willę mniejszą, ale za to super nowoczesną itd.

Za wszystkie te urządzenia płaci resort, podobnie jak i za wszystkie sprzętki. Nie płaci się ani czynszu, ani opłat za światło, wodę czy gaz... Tego rodzaju kłopotów ministrowie nie mają. (FEP)

## KABARETY WARSZAWSKIE

**W**ARSZAWA zawsze była miastem łatwej do znalezienia rozrywki. W dobie komunizmu, kiedy pieniądź stracił wartość i ludzie nie składają oszczędności, spotykamy się z licznymi wypadkami trwonienia zarobionych pieniędzy.

Osoba przybyła z Warszawy opowiada m. in., iż „nie byłoby zgodnie z prawdą, gdybyśmy powiedzieli, że całe społeczeństwo się bawi”. W większości jest ono tak biedne, że nie może pozwolić sobie nawet na skromną rozrywkę... Najwięcej bawi się młodzież. Wśród ludzi starszych, bawiących się głównie w lokalach, spotyka się przede wszystkim urzędników państwowych. Rzadko spotyka się ludzi z t.zw. prywatnej inicjatywy ze względu na obawę tych ostatnich przed „domiarami”. Jeśli przychodzi, to są skromni i nigdy nie wpadają w oko.

Lokale kategorii „S” (najlepsze) są dobrze urządzone. Wstęp kosztuje 20 złotych. Do takich lokali nie wolno wejść mężczyznom bez krawatu. W lokalach tych są przeważnie występy artystyczne. Czesi dominują obecnie w artystycznym nocnym życiu Warszawy, czasami występują także artyści rumuńscy i węgierscy. Przeciętny zarobek muzyki wynosi 3.000 zł. miesięcznie plus wyżywienie. Występy artystyczno-kabaretowe (tancerze, humoryści, żonglerzy itd.) płatne są 300 zł. za wieczór. Ogromną plagą wszystkich instytucji rozrywkowych jest nieuczciwość personelu, zwłaszcza kelnerów, którzy w niemilosy sposób wykorzystują każdą chwilę i okazję do nieuczciwego „zarobku”.

Oto spis kilku najbardziej popularnych lokalów nocnych w Warszawie: Kawiarnia Kongresowa — mieści się w Pałacu Kultury i Nauki. Ma salę w formie ronda, kilka rzędów łóż piętrowych. W środku kolorowa fontanna, wokół niej parkiet do tańca. Wstęp 20 zł., do tańca przygrywa zespół Tuczapskiego i Mroczka, o północy występy kabaretu. A oto kilka cen: ciwarika polskiej wódki wyborowej — 48 zł., liker w karafce — 70 zł., butelka szampana — 360 zł. Z potraw: kotlet — 38 zł.

porcja kawioru (8 grm) — 38 zł., kawioru astrachańskiego — 58 zł. Do cen tych dolicza się podatek w wysokości 15 procent — za to kelnerzy w smokach.

**Hotel Bristol** — cocktail - bar, kawiarnia. Nie podają dań gorących, tylko zimne. Ceny sione, przeważają w tym lokalu cudzoziemcy. Gra w Bristolu zespół Mazurkiewicza. Obowiązują gości stroje wieczorowe. Dancing trwa od godz. 22 do 3 rano. Hotel „Bristol” administrowany jest przez „Orbis”, biuro podróży.

**Grand Hotel** — jest to filia „Bristolu”. Posiada luksusowy bar - kawiarnię - dancing. Otwarcie tego ekskluzywnego lokalu nastąpiło dnia 1 sierpnia 1958 r. Jest to zarazem nowoczesny hotel w 12-piętrowym „drapaczu chmur”. W przyszłym roku ma być zbudowane na dachu tego gmachu lotnisko dla helikopterów. Urządzenia hotelu są isticie nowoczesne. We wszystkich prawie pokojach telewizory, telefony i radia. Wstęp do lokalu dancinowego kosztuje 100 zł.

**Kameralna** — przy ul. Foksal. Lokal ten jest odwiedzany przez młodzież. Dancing trwa od 22 do 3 rano. Bar czynny jest do 5 rano. Wstęp 30 zł.

**Kandelabry** — w hotelu MDM, lokal elegancki, kabaret do północy, wstęp 20 zł.

**Krokodyl** — mieści się na Starym Mieście w piwnicy. Wstęp i ceny sione. (FEP)

## Miesiąc Inwalidy

Dalsze ofiary na Miesiąc Inwalidy nadeszły następujące osoby: J. Janowski 1000 fr.; D. Hirshfeld (zebrał J. Ostrowski) — 1.000 fr.; Kompania Wartownicza Nr 4086 — 6.285 fr.; dr Orleans — 3.000 fr.; St. Kalbarczyk — 500 fr.; J. Hanc — 500 fr.; J. Zieliński — 5.000 fr.

Za powyższe ofiary w imieniu Zarządu PZIW i tych kolegów-inwalidów którzy z pomocą tej skorzystają, serdecznie „Bóg Zapłać”.

Pol. Zw. Inw. Wojennych 15, rue St. Gilles, Paris 3.

WIKTOR JUNOSZA

# 39 LAT TEMU...

BOŻE NARODZENIE! Ileż nasuwa się wspomnień, zwłaszcza gdy się jest już, delikatnie mówiąc, w pewnym wieku!

Przebiegam, zastawiam. Rzecz ciekawa — chwile radosne jakos przedzej zbladły i poszarzały niż takie, kiedy serce ścisnęło ból a zakłopotana myśl daremnie szukała przejścia przez ciemności...

Tak, 39 lat temu, w 1919. Odesa. Nowozainstalowane władze „sowieckie”. Całe miasto drży: stawetna Cze-ka, twór „wielkiego Polaka” Fe liksa Dzierżyńskiego — szaleje. Tysiące aresztowań, tysiące egzekucji. Nim za dadzą śmieć, odcinają język, wykluwają oczy...

Ojciec mój utrzymuje, że nic mu nie może grozić: będąc na wysokim stanowisku w sądownictwie, podał się, w 1905 roku, do dymisji, by nie sądzić uczestników rewolucji; poza tym, iluż to polskich socjalistów ukrywał przed policją we własnym mieszkaniu!

Nie było to w oczach bolszewików żadną zasługą. Agenci Dzierżyńskiego przyszli po ojca, a nie zastawszy go w domu, zadowolili się moją skromną osobą. Gdy mnie wzięli do więzienia, śpiewali wesoło:

— Długo się jabłeczko toczyło, aż się do Cz-ka dotoczyło. A stamtąd już nie wróciło

Wprowadzono mnie do piwnicy bez okien. Byli tam sami Polacy; co tylko brało czynny udział w miejscowym życiu polskim — znalazło się pod kluczem.

Po paru dniach wszystkich nas bez przesłuchania wywieziono do Kijowa. Tam naczelnikiem więzienia był „stary komunistą”, który się chwalił, że własnoręcznie zabił 500 „kontrewolucjonistów”, a na naszych oczach zastrzelił staruszkę, która z ciekawości zaglądnęła do wieziennego podwórza. Do żołnierzy krzyczał, wskazując na nas:

— Traktujcie jak bydlę!

W nocy wyprowadzono nas co parę godzin „na rozstrzelanie”. Lecz — choć za ścianą istotnie rozlegały się raz po raz salwy i jęki — było to, jeśli chodzi o naszą grupę, tylko wyrafinowana forma znęcania się. Sztuką dla sztuki. Po dobie — zamykanie nas po kilkudziesięciu w małym pokojku, gdzie musieliśmy się układać w trzy warstwy.

Po tygodniu załadowano nas do wagonu towarowego, zaryglowano i wyprawiono do Moskwy. Przez cztery dni byliśmy bez jedzenia.

W Moskwie zamknięto nas w byłym klasztorze św. Andronika. Warunki były okropne: głód, zimno, a przede wszystkim specjałność sowiecka — wsi. Całe ciało pokryte było ropiejącymi ranami.

Nikt nas nie przesłuchiwał; przeciw nikomu nie wysunięto żadnego oskarżenia. Aż wtem obwieszono, że na podstawie polsko - sowieckiej umowy o wymianie jeńców zostaniemy odesłani do Polski. Łatwo sobie wyobrazić, jaki wśród nas zapanował entuzjazm!

Wyłowiono nas w Orszy. Pod konwojem sowieckim mieliśmy się udać na punkt wymiany. Szliśmy polem i lasem przeszło godzinę. W pewnej chwili zaczęła nas ogarniać niepokojąca: wydawało nam się, że to znów ten sam krajobraz, który już oglądaliśmy. Tak było istotnie: zaprowadzono nas okreśną drogą... do tego samego pociągu, z któregośmy wysiedli.

I zawieziono z powrotem do Moskwy. Łatwo sobie wyobrazić, jak grobowy panował nastrój, jaka ciemna rozpacz ogarniała serca.

I oto zbliża się Boże Narodzenie. W Moskwie nikt go już nie obchodzi. Lenin orzekł, że „religia to opium”, że Chrystus, to „postać mityczna”, że miłość bliźniego, to „wymysł klas posiadających, mający zamydlić oczy wyzyskiwanym”. Cerkiew katedralna św. Wasyła przekształcona została w muzeum bezbożnicze. Zaś Dzierżyński — wiadomo — ma swe oczy i swe uszy wszędzie; spróbuj tylko się pomodlić!

Korzystając z tego, że pilnowano nas mniej niż uprzednio i że mogliśmy chodzić z celi do celi — postanowiliśmy mimo wszystko spędzić Wigilię po chrześcijańsku i po polsku. Cichutko, by nikt nie mógł usłyszeć, zebrałiśmy się w największej celi, gdzie z dwu stołków i deski z łóżka, pokrytych dziurawym kocem, sporządzono ołtarz; kru cyfkiem były dwa związane sznurkiem patyki.

W półmroku, kilkadziesiąt osób ugięto kolana. Stary, siwiutki ksiądz z Wołynia, który się do nas przyłączył w Kijowie, szepotał, cały drząc, słowa modlitwy.

W głębi celi rozległ się spazmatyczny szloch. Byliśmy jednak tak przejęci, że myśl o wynikającym stąd niebezpieczeństwie ścignięcia uwagi strażników nawet nas nie zadrasnęła.

— Et fiat voluntas Tua, powtarzał raz po raz mój sąsiad z lewej, podczas gdy sąsiad z prawej, socjalista, w drodze kompromisu recytował zwrotki „Boże coś Polskę”.

Świeczki na ołtarzu już się dopalały. Niespokojne, ukośne cienie rzuciły atmosferę niesamowitości. Gdy ksiądz skończył modlitwę, wyprostował się i patrzył gdzieś daleko przed siebie, powoli, z niezwykłą powagą zakreślił ręką olbrzymi znak krzyża.

Szłochy rozległy się ponownie, już liczniejsze. Wtem ktoś zanucił półgłosem:

— Bóg się rodzi, moc truchleje... Wkrótce śpiewali wszyscy. I coraz głośnie. Dopiero gdy po skończonej kołędzie nastąpiła nagła cisza, uświadomiliśmy sobie, na jakie narażamy się ryzyko.

I właśnie w tym momencie nastąpiło to, czego chyba nigdy nikt z nas nie zapomni. Stary, siedemdziesięcioletni pan Kaczkowski, chudy jak szcypa (sprzedawał żołdatowi żupę i chleb za papierosy) podniósł się z kolan i jakby poruszony jakąś nieznośną siłą wysunął się przed wszystkich, by tak głośno, jak tylko potrafił, zaintonować „Jeszcze Polska nie zginęła!”

W pierwszej chwili zapanowało przerażenie. Potem do głosu pana Kaczkowskiego dołączyły się inne, dołączyły się wszystkie.

Na korytarzu rozległy się szybkie kroki. W drzwiach ukazała się okrągła mordą strażnika.

— Co za hałas? Każdy do swojej celi, i to biegiem, wy... polska swolocz!

Tak było w Moskwie w 1919 roku. Wkrótce wymiana jednak nastąpiła. Po przyjeździe do Warszawy dowiedzialem się, że ojciec mój został rozstrzelany w Cze-ka jako „wrogu ludu” i „polski nacjonalista”.

Dziś jeden z największych placów Warszawy nazywa się placem Feliksa Dzierżyńskiego. Stary Kaczkowski umarł w porę — nie dożył.

Wiktor Junosza

## ZAMIAST ŻYCZEŃ

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych wptacił do Administracji „Syreny” z przeznaczeniem na polskie liceum w Les - Ageux:

Pani Wanda de Boisgontier 2000 fr., p. Edmund Urbanowicz 1000 fr.

Zamiast życzeń świątecznych red. Wiktor Junosza-Dąbrowski wptacił 500 fr. na Skarb Narodowy.

DR MARYA KASTERSKA

# O P Ł A T E K

Krótki grudniowy dzień miał się ku końcowi i zmrok zaczynał już zapadać nad rozległą śnieżną równiną. A wśród tej równiny, co zdawała się bezkresną, jeden tylko szary punkt posuwał się szybko: małe sanie, zaprzężone w parę rosych, dzielnych koni. Siedziało w nich dwóch podróżnych „młody pan w szubie i wysokiej czapie furzanej i stary strąget w tegim baranim kożuchu i takież czapie. Obaj spoglądali trochę niespokojnie to na ciemniejące niebo, to na białe przestrzenie.

— Wcześniej noc zapada. Jak myślisz, Macieju? Dojedziemy do domu na wilię?

— Nie wiem, panie. Śnieg świeży, a ni śladu drogi, konie muszą jej szukać, jak mogą.

— A czy jedziemy w dobrym kierunku?

— Zdaje się, ale i tego nie wiem. Żle żeśmy jechali z traktu, aby skrócić drogę.

— A czy wiesz przynajmniej, gdzie jesteśmy?

— Żeby prawdę powiedzieć, to nie bardzo. Bo tu na lewo powinien być mały laszek sosnowy, a ja go nie widzę. Bieda, że coraz ciemniej i śnieg zaczyna padać.

— O śnieg mniejsza, widniej od niego w nocy. I mamy latarnie. Zapal ją, Macieju.

— Latarni starczy na godzinę, dwie. A potem?

— A potem przyjedziemy do domu.

— Byliśmy tam dojeżdżali tego wieczora!...

— Ej, Macieju, przecie nie pierwszy raz tędy jedziemy.

— Pewnie, że nie pierwszy raz. Ale... Ale co?

— Kiedy panicz się pogniewa, jak powiem, co myślę.

— Wcale nie, wcale nie. Ciekawym, co ty myślisz, mój Macieju.

— No, to powiem, bom ja stary i panicza na rękach nośm, nieraz i stary pan nieboszczyk mnie posłuchał.

Ot, że panicz zrobił, że zamiast pójść się pomodlić do kościoła, siedział u tego starego wygi palestranta, co tylko panicza obdziera i wciąż ekscytuje, żeby się dalej procesować z panem Zapolskim. Nie powinno się o tym myśleć w dzień świętej wili. Diabeł nie spi.

— Nic nie rozumiesz, mój biedny Macieju. Ten mądry jurysta zapewnił mnie, że wygra sprawę. Straci pan Zapolski swoją wieś i z torbami pójdzie w świat.

— Et, pan Zapolski to samo powiada: o panicz każdemu, kto go chce słuchać. Miły Boże, toć wstyd i grzech, żeby dwóch dobrych i niegłupych panów dawało się stryc, jak barany, palestrantom, zamiast żyć w zgodzie, jak przystało.

— Dostyc tego, Macieju. Pan Zapolski to mój wróg śmiertelny, nigdy mu nie przebaczę. Słuchałem cię, boś stary, bo cię szanuję, ale dostyc tego! Słuchaneż rzeczy, żeby sługa panu nauki prawil?

— A nie powiedziałem, że się panicz pogniewa, jak mu prawdę szczerą powiem?

— Do diabła z taką szczerą prawdą! — Niech panicz nie wyzywa diabła, bo to może on właśnie wodzi nas po tej dolinie.

Zamilkli obaj i tylko dzwonki śpiewały swoją pieśń monotonną. Białe płatki śnieżne, podobne do kwiatów,

STEFAN LEGEZYŃSKI

# TEODOZJA LISIEWICZ

SYLWETKI PISARZY EMIGRACYJNYCH

B.D.I.C

Czasy nowoczesne, nie rezygnując z form dawnych, pełne są form nowych, i tak obok bardzo starego teatru i nowszego, ale już też mającego swój wiek męski kina, pojawiło się radio, a następnie telewizja. Sztuka dramatyczna inaczej wygląda w teatrze, inaczej w radio, gdzie nosi nazwę (trafną) „teatr wyobraźni”, inna jest w telewizji, gdzie można łączyć swobodnie teatr z kinem.

Ta różnorodność wymaga odpowiednich pisarzy, tych którzy znają wymagania aparatury transmitującej sztukę dramatyczną i umieją przy jej pomocy dać dzieła sztuki.

Teodozji Lisiewicz, której rozkwit obserwujemy dopiero na emigracji, gdyż tu właśnie powstała przewaగా jej sztuk napisanych i wydanych drukiem, zaczęła pisać na kilka lat przed drugą wojną światową. Jej twórczość związana była w tym okresie (przedwojennym) z radiem, konkretnie z Radiostacją Lwowską.

Teodozja Lisiewicz uważa za początek swej twórczości (według przeprowadzonego przez mnie z nią wywiadu) datę 24 grudnia 1930 roku, kiedy to radio lwowskie nadało jej recenzję z książki J. Meisnera „Licznik z czerwonej strzałką”. Dział recenzji książkowych prowadziła w radiu lwowskim przez 5 lat, czytając je pod pseudonimem Helena Boyer. Pracę tę zakończyła w roku 1934-35 obejmując stanowisko sekretarza programu Lwowskiego Radia, które odebrała jej dopiero wojna w dniu 24 września 1939 roku.

W latach 1931-39 pisze szereg słuchowisk radiowych, wśród nich fantazję ludową „Za tą chatą, co to Jana”, kilka reportażów muzycznych, napisanych razem z Jerzym Tępą, radiofonicznej Oscara Wilde’a „Idealny małżo-

nek”, słuchowisko „Różowe okulary” i inne.

Jednocześnie z swą pracą w radiu Teodozja Lisiewicz prowadziła studia dramatyczne, kończąc szkołę dramatyczną Wandy Siemaszkowej w czerwcu 1933 roku, po przejściu praktyki scenicznej w teatrach miejskich Lwowa za dyrekcji Horzycy. Wystąpiła wtedy w sztuce „Jim i Jill” w jednej z mniejszych ról; reżyserem był Wacław Radulski.

Dostojnie cała Polska słuchająca „Wesolej Lwowskiej Fali” znała jej głos w roli ciotki Bańdziuchowej i Karolki.

W roku 1933 Lisiewicz napisała sztukę teatralną „Manon Lescaut” w modernistycznym ujęciu, którą wystawiono Narodne Divadlo w Brnie na festiwalu sztuk słowińskich, Sztukę tę wystawiono kilkanaście razy; otrzymała ona szereg pochlebnych recenzji prasy czeskiej.

W roku 1935 dokonała autoryzowanego przekładu sztuki francuskiej „Le revenant”, tytuł polski „Ten, który wrócił”, którą grano w teatrach Łodzi i Wilna.

Na rok przed wojną napisała sztukę „Słoneczniki”, którą miano wystawić w Warszawie (Malicka) i Wilnie (Leopold Kielanowski). Z powodu wojny sztuki nie wystawiono, a egzemplarz sztuki zaginął w zawierusze wojennej. Obok twórczości dla teatru i radia, należy wspomnieć dla pełniłości obrazu o napisanej w 1938 r. książce dla dzieci pod tytułem „Pissica” (co znaczy kot po rumuńsku), która jednak nie doczekała się druku, i nowelach drukowanych w wydawnictwach Mariana Dąbrowskiego w Krakowie pod pseudonimem Maria Rakowska.

Po ciężkich przejściach wojennych

z Kolywą wzięcznie, znalazła się nasza autorka na Srodkowym Wschodzie, gdzie wydukuowała w prasie polskiej kilka wierszy, z których część znalazła się następnie w antologii pt. „Azja i Afryka”.

W roku 1945 otrzymuje dwie nagrody: za pamiętnik z Rosji nagrodę I na konkursie stronnictwa „Wolność” oraz nagrodę II-gą za sztukę Dramatyczną pt. „Dom” na konkursie ZASP-u (Zw. Artystów Scen Polskich).

W roku 1949 Teodozja Lisiewicz odtworzyła z pamięci „Słoneczniki”. Komedia ta została wystawiona na emigracyjnych scenach polskich w roku 1949 w Anglii. Grano ją ponad 70 razy. Reżyserował Radulski, debiutowała w niej J. Katelbachówna, grały Domańska, Sempolińska. Wznowiono ją w kilka lat później w reżyserii Wiesława Mireckiego. Grały tym razem Romana Pawłowska, Hanka Mirecka i Autorka. Grano ją w Niemczech, Francji (Paryż) i w Londynie.

Prasa przyjęła komedię bardzo ciepło. Pełna pogody i uroku, ma żywy potoczny dialog i doskonale zarysowane postacie trzech kobiet. Tematem „Słoneczników” to odwieczne ciążenie ku sobie przedstawicieli płci odmiennej, oglądane tym razem z punktu widzenia niewieściego.

Prasa polska terenu angielskiego podniosła, że T. Lisiewicz jest drugą Polką na emigracji, a pierwszą na Wyspie, która zdobyła laury sceniczne.

W roku następnym komedia Teodozji Lisiewicz pt. „Wejście tylko dla służby” otrzymuje na konkursie ZASP-Iszą nagrodę.

Inna jej sztuka „Skórka z pomarańczy”, była grana na terenie Anglii około 70 razy.

Inna jej sztuka, „Madame X-ów”, wystawiona została na scenie londyńskiego „Orla”, jako czytana dwukrotnie, otrzymała też na konkursie „Reduty” w Stanach Zjednoczonych nagrodę. Następną sztuką, „Buty jaworowe”, również została nagrodzona 2-gą nagrodą w St. Zjednoczonych i była grana przez „Teatr Aktora” (Wojtecki).

„Słoneczniki” grane były w polskim programie radiowym w Chicago (Nowotarska), a czytano również w Stanach „Madame X-ów”.

Teatry amatorskie ośrodków polskich w Anglii często grają jednoaktówki Teodozji Lisiewicz, większość ich (około 20) wydano drukiem. Kilkanaście — Polska YMCA, trzy — SPK.

Oto ich tytuły: „Dwa ognia”, których treścią jest pogodzenie się rozpadającego się małżeństwa, „Pomyłka Urszuli” — akcja tej jednoaktówki toczy się w obozie uchodźczym w Anglii. Znajdujemy tu w trafnym skrócie życie obozów w pierwszych miesiącach po wojnie. „Legenda” — zagadnienie rodziny opuszczanej przez ojca pijaka, „Amator” — humoreska kolejowa, „Szkłanka mleka”, rzecz rozgrywa się w Marsylii. Ludzie bez ojczyzny, poszukujący chleba, żyjący nielegalnie nie posiadając dokumentów uprawniających do przebywania we Francji. „Lepiej późno niż nigdy” — sprawy serwowe emigracji, „Wakacje”, „Pazur niedźwiedzi” (dla młodzieży), „Przeżyłka z Polski”, „W sobotę po południu” i inne.

„Dwa ognia” zostały przetłumaczone na język angielski i jako sztuka czytana przedstawione na jednym z wieczorów Międzynarodowego PEN-Clubu.

Warto wspomnieć o cyklu wspomnień „Siostra Ikara”, które drukował jeden z tygodników, a które zawierały przyżycie autorki z czasów służby w lotnictwie oraz tłumaczeniu dzieła Bruce Marshalla „Cud ojca Malachiasza”, które ukazało się w wydaniu książkowym w Paryżu.

Na plan pierwszy twórczości Teodozji Lisiewicz należy bezwzględnie postawić twórczość dramatyczną w której ma największe osiągnięcia i którą uprawia nieprzerwanie od 25 lat.

Nie można jednak również nie zauważyć jej pracy aktorskiej z postacią ciotki Bańdziuchowej z „Wesolej Fali” na czele przed wojną, a kreowaniem jednej z postaci „Słoneczników” w objęzdie trzech krajów po wojnie.

To ukończenie teatru odziedziczyła po matce muzycze i teatromance, praca w radiu dawała możliwość zaspokojenia jej potrzeb w tym kierunku choćby częściowo, a o wiele mniej sprzyjające warunki, jakie ma po wojnie (praca urzędnicza), rekompensuje pracą pisarską dla sceny emigracyjnej, niestety ubogiej, źle wyposażonej i nie dającej autorowi dużych tantjem.

O żywej i owocnej pracy społecznej Teodozji Lisiewicz wspominać nie potrzebuje, gdyż jest szeroko znana. Walczy ona o sprawy nam najdroższe na wszystkich niwach, a w dziedzinie sztuki przede wszystkim. Sztuki jej są szczerze polskie, omawiają one problemy nasze, pełne są postaci tych matek, ciotek, które dają wskazania młodym, jak żyć w świecie obcym tak, aby pozostać sobą.

Problemy, które mają do rozwiązania bohaterzy jej sztuk, są konkretne, na żywo chwythane, można by powiedzieć reportażowe (w najlepszym tego słowa znaczeniu), a życie jest w nich takie, jakim jest naprawdę — pełnym trudu i walki. Teodozja Lisiewicz jest realistką, a filozofia którą reprezentuje to optymizm, którym przesiąknięta jest cała jej twórczość.

Stefan Legezyński

wirowały w powietrzu. Nagle konie szarnęły się i puściły galopem.

— Wilk gdzieś w pobliżu, zamruczał Maciej.

Młody człowiek rozejrzał się uważnie dookoła. Dwa małe punkciki blizy czwały w ciemności, nisko przy ziemi.

— Jest sam. Nie odważy się. I mamy broń.

— Tak, na jednego, albo na dwóch czy trzech. Ale jak będzie kupa cała?...

Zamilkli znów. Każdy starał się patrzeć jak najdalej, przebieć wzrokiem gęste mgły nocy.

— Macieju, czy widzisz? Coś się tam czerni na lewo. Czy to wilki?

— Tam na lewo? Nie, to przedź pnie ściętych drzew albo małe jakie krzaki. Nie ruszają się, nie blyszczą oczy. Ale jest gorsza bieda...

— Jaka?

— Już nie wiem, gdzie jesteśmy... — Ani ja, mój biedny Macieju, ale jedźmy naprzód. Przecież to nie step, nie pustynia. Znajdziemy w końcu jakąś ludzką siedzibę.

Kończył te słowa, gdy konie, które od paru minut zwolniły biegu, nagle zastrzygły uszami i pomknęły jak strzałą.

— Teraz to wilki, paniczu. Jest ich kilka.

O!, gdyby były chociaż drzewa, żeby się na nie wdrapać! — zamruczał stary strąget.

Wtem sanki podskoczyły do góry i konie zaczęły bieć jeszcze prędzej. Sanki sunęły po śniegu z błyskawiczną szybkością...

— Nie strzełać, paniczu, nie strzelać. Nie warto! Ale proszę się trzymać dobrze, bo lecimy jak wiatr. Konie odnalazy drogę. Jaką? Dokąd? — nie wiadomo. Ale do jakiejś wsi czy osady, bo już widać światła.

— Chwała Bogu! To jakiś dwór, tam między drzewami, nie widać dobrze za mgłą. Ale któkolwiek by był, nie odmówi schronienia ludziom, co zabłądzili w polu w dzień wili.

W dworze zapolskim wrzała praca od rana, ba, przed świtem zimowym pracowano już przy lampach i świecach. Pani Anna, jako młoda meżatka, chciała, żeby wszystko było tak dobrze, jak w domu jej matki. A tu nie było się kogo poradzić, bo rodzice i teściowie mieszkali daleko; jeden brat meża obiecał się na święta, ale i ten na nic by się tu nie przyjął. Więc ślepała już od kilku dni nad rozmaitymi przepisami i radziła się starej Brygidy, dawniej gospodyni swojej matki.

— Wszystko będzie dobrze, — rzekła spokojnie Brygida, o wiele pewniejsza siebie, niż jej młoda pani. — Wszystko będzie dobrze, byle tylko pan Wacław, brat naszego pana, na czas przyjechał. Inaczej będzie źle.

— Dlaczego, Brygido?

— Jaktó dlaczego? Alboż to panienka, przepaszam pani, nie wie, że na wilię potrawy muszą być nieparzyste, ale biesiadnicy za stołem przysięśli. Inaczej nieszczęście na cały rok i może nawet kto nie doczeka przyszłej wili, nie daj Boże.

Pani Anna przelekła się, ale spróbowała okazać odwagę i pogardę dla prze sądów:

— Dajcie spokój, moja Brygido. Pan Bóg nie karze ludzi za takie głupstwa.

— Pan Bóg dał ludziom rozum, żeby się strzegli tego, czego uniknąć można,

Dokończenie na str. 5-tej

## MARYSIA I WILKI

CICHE, szelesty skrobania kartofli poprzedziły metaliczny brzęk naczyń. Potem hałas przestawiania rondla uciach. Dał się słyszeć szum wody lejącej z kranu, wreszcie charakterystyczny wybuch zapalającego gazu. Wieczór odmiął się w noc. Pani Berg przygotowywała na dzień następny pożywienie dla trzech osób.

Ręce śpiącego dziecka objęły mocniej i przycisnęły do szyi pluszem okrytą żółtą zabawkę. Półotwarte usta westchnęły ciężko...

O którejś godzinie nocy Marysia otworzyła oczy. Dojrzała drobny pęk myk karbidowej lampy. Matka siedziała koło stołu. Na ścianie zgromadziły jej cień puchł i wiały z nieprawdopodobną szybkością w miarę poruszeń siedzącej na krześle postaci.

— Co mama robi? — spytało sennie dziecko.

— Czemu nie śpisz Marysio? — Obudziłam się. — Powinnas zaraz zasnąć. — Poczekaj. Ja muszę się namówić. — Obróć się na drugi boczek, kochanie. W ten sposób nie będziesz widziała światła. Kicia jest z tobą? Dziecko obydwoma rękami przycisnęło do piersi zabawkę.

— Tak. Ona mruży.

Nastała chwila ciszy. Pochylona nad stołem postać gorączkowo szyła nie grabnie skrajane z filcu obuwie dla dziecka.

— Mam — odezwała się znowu Marysia.

— Co, malutka? — Powiedz, co to jest „las”? — Codziennie oglądasz rosnące na naszym podwórzu drzewo?

— Tak.

— Wiele takich drzew stanowią las.

— Ile takich drzew? Dwa, pięć?

— Dużo więcej.

— Dziesięć?

— Jeszcze więcej.

— To przecież nie zmieszczą się na podwórzu.

— Lasy rosną na wolnej przestrzeni.

Obok nich są łąki i pola zasiane zbożem. Ptaki śpiewają w błękitach.

Dziewczynka zamilkła.

— Mam... — rzekła po chwili.

— Co, słodczy?

— Czy ty opowiadasz mi bajkę?

— Dlaczego, Marysio?

— Bo przecież to wszystko jest nieprawda.

Siedząc przy stole postać wyprostowała pochylone nad robotą plecy. Potem podniosła się z krzesła.

— Mamusia zrobiła ci bućki. Rano gdy wstaniesz, włożysz je na nożki. Będzie ci w nich ciepło. A teraz bądź grzeczna i zaśnie. Kicia już na pewno śpi. Mama idzie do pracy. Przyjdzie ci dopiero wieczorem. Wtedy opowie ci bajkę o dużym lesie. Pełnym ptaków. I czerwonych muchomorów.

Dziewczynka postępnie przymknęła oczy.

— Muchomorów? — powtórzyła sennie. — Co to jest „muchomorów”?

NOTKNIĘCIE zimnej ręki było nieprzyjemne. Marysia mocniej wtuliła nos w poduszkę. Chciała spać. Ale potrzebna stawała się wciąż silniejsza. Trzeba było otworzyć oczy.

— Musisz wstać, królowo korniszonów — mówiła Edzia. — Gdy cię umyję i ubiorę, położysz się znowu, jeśli zechcesz.

Odsuwała kołderki wyluskując z nich rozgrzane ciało dziecka.

— Mnie zimno — rzekła Marysia, gdy Edzia zdejmowała z niej koszulkę.

— Mamusia i ja nie mamy pieniędzy na kupno węgla. Musisz to zrozumieć. Tak, a teraz podaj drugą rączkę. Jeszcze chwile. Za to, że jesteś grzeczna, dostaniesz, gdy się ubierzesz, go rączką kaszkę. I to z cukrem.

— Ja lubię kaszkę.

— Patrz jakie masz piękne bućki z filcu. Wyglądasz w nich niby eskimos. Nie ta rączka... Wprzód prawa do futerka, potem lewa. W pokoju jest zimno, więc pod żadnym warunkiem nie wolno ci się z płaszczką rozebrać. Od czasu do czasu pani Rena zajrzy do ciebie. I zagrzeje ci obiady.

— A mama kiedy przyjdzie?

— Może w południe, może dopiero wieczorem.

— To ja mam być znowu sama?

— Nie sama. Zostaniesz z kicią. I pani Rena przyjdzie zabawić się z tobą.

— A dzieci?

— Dzieci dziś mają szkółkę, muszą się uczyć.

— To czemu ja się nie uczę?

— Bo masz dopiero cztery latka. Tak, a teraz mufka. Gdybyś marzyła w rączki, kładź je do mufki.

— A ja mogę zejść na podwórze?

— Nie. Pod żadnym warunkiem. Na podwórze przyjdzie Niemiec, schwyty cię i zje. Niemcy są jak wilki.

— A co to jest wilk?

— Wilk to jest duży i dziki pies.

— Dlaczego on jest dziki?

— Bo mieszka w lesie.

— W lesie? Ja też chcę mieszkać w lesie. Tam jest dużo drzew.

— Gdy skończysz się wojna, wszyscy pojedziemy na wieś i będziemy spacerowali po polach i lasach.

— I będziemy w nich mieszkać?

— Tak. A teraz jedz kaszkę.

— Ona jest bez cukru.

— Nie wiedziałam, że cukru zabrakło. Jutro kupię melasę.

— A dlaczego pani Rena ma męża, a mama go nie ma?

— Jedz kaszkę. Papa wyjechał i wróci dopiero po wojnie.

— A dokąd wyjechał?

— Nikt tego nie wie. Skończył?

— Tak. A dlaczego ty nie masz męża, Edziu?

— Bo nie mam. Nie zdarzyło się. Umyj teraz rączki. Daj, obetrę buzię.

— To ja obetrę buzię kici. Ona prze-

cież też jąda.

— Dobrze. Ale najprzód załóż z powrotem mufkę.

Dziecko postępnie wyciągnęło szyję. Mufka posiadała jedwabny biały sznur z wielką u dołu kokardą. Zaczepiona do sznura wisiała para wykrojonych z futra rękawiczek.

— Gdyby ci było zimno, poprosisz panią Renę, by ci je nałożyła, rzekła Edzia. — A teraz baw się z kicią.

Dziecko, kołysząc w ramionach zabawkę, odeszło do kąta.

Edzia nałożyła zimowy płaszcz, narzuciła na głowę chustkę. Długosć chusty pozwalała na związanie jej w pasie. O tej porze roku hale fabryczne u Tobensa miały temperaturę poniżej zera.

— Do widzenia, Marysio — rzekła. — Pamiętaj, nigdzie nie wychodzić.

— Marysia będzie grzeczna — przyrzekło dziecko. — I kicia też.

Gdy została sama podszedła do okna. Białe płatki śniegu spadały z nieba. Leciały wdzięcznie, bez szelestu, kołysząc się przy podmuchu wiatru. Było ich coraz więcej. Puszysta warstwa białych układała się we wnętrzu okna. Marysia przez dłuższą chwilę patrzyła na zimowy z szybami świat.

— Czy w lesie też pada śnieg? — myślała. — Bo jeśli pada, to wilkom musi być zimno. I może przyjdą do miasta.

Wyobraziła sobie ulicę, po której biegają duże psy, dlatego zwane wilkami, że żyją w lesie i są dzikie. Wilki były koloru rudego, taką szerść miał Burzek z podwórza. I posiadają złote palające oczy.

Przystawiła stołek do okna i wdrapawszy się nań, przywarła nosem do szyby. Nosek po chwili zdrewniał. Szkło zaś pokryło się białym nalotem mgiełki. Trzeba było ją zetrzeć ręką.

Na ulicy leżały zasypane śniegiem. Kolejny wóz wyglądał jak dła długie, nie kończące się w polu widzenia. pełną obok siebie węże.

— To pewno też mąż i żona — nie wiadomo czemu przyszło skojarzenie w mózgu dziecka.

Wilków nie było widać. Ulicą wleki się ludzie, czarne niekształtne sylwety, owinięte w łachmany ubrań. Ślady kroków wydłużały się, było ich coraz więcej. Jedne przekraczały drugie, inne nie krzyżowały się, biegąc równoległymi liniami po białym śniegu.

Ach, gdyby je można było zamienić w ptaki!

Aż klasnęła na tę myśl w rączki. Tyle ptaków. I wszystkie przyleciałyby do niej, do pokoju.

Lecz gdyby tu stały się wilkami? Potrzebna głowa.

— No to co? Na pewno z wilkami też się można bawić. Ona, Marysia, razem z kicią, i wiele wiele wilków.

Bawiliby się w „zgaduj zgadula...”

Przyjrzała się z nowym zainteresowaniem szarej szachownicy śladów, które ciągle przysypywał lejący śnieg. Było ich tyle... Na pewno więcej, niż dziesięć. Potem pokazała je kici, ostróżnie wyjmując zabawkę z mufki. Niech się przyjrzy także...

Na ulicy ukazał się człowiek. Biegnąc, wymachując rękami. Krzycał głuchym chrapliwym głosem. Za nim spieszyło kilka innych postaci. Wszystkie sunęły pod murami. Jakis mężczyzna o czarnej brodzie i palających oczach dzwonił w ramionach dwoje dzieci przybranych w czerwone kapturki. Wpadł z dziećmi do bramy. Po chwili ulica była pusta i biała jak przedtem. Śnieg sypał, coraz gęściej, coraz większymi lepiącymi się do szyby płatkami. Był symfonią milczenia, głośno dzwoniącą ciszą świata.

Ciszę to przerwał hałas. Szmer, zrazu daleki, rósł ciągle ciężkim bełkotem przyprawu, krzykiem pojedynczych głosów. Dobiało szczerkanie psów. Marysia spojrzała w dół. Niby ciało długiego węża wlokł się ulicą pochód ludzi. Były to wszystko dzieci. Chodniki zajmowały postaci przybrane w zielone płaszczki. Trzymały one na smyczkach duże o smukłych kształtach zwierzęta.

— To pewno wilki — rzekła z zadróżką Marysia do kici. — Przyprawdzili je z lasu, by mogły bawić się z dziećmi.

Z ciekawości aż wysunęła języczek, ostrożnie dotykając jego koniuszkiem zimnej powierzchni szyby.

Pochód przystanął. Marysia dostrzegła, że jedno z dzieci nie miało butów. Stało a właściwie przepastowało bosymi stopami po białej okrytej ziemi. Dłonie ukryło w rękawy zbyt obszernego pałta. Na odkrytą głowę dziecka sypał się śnieg.

— Przecież jemu musi być zimno — wzruszyło się serce patrzącej.

W kolumnie dzieci rosło zamieszanie. Ten z bosymi nogami przycupnął i jął rozcierać bledne, zmartwiałe zupełnie stopy. Starszy, może piętnastoletni chłopiec ubrany w skórzaną kurtkę i cyklistówkę, podał bosonogiemu szalik. Dziecko usiłowało nim owiazać jedną nogę. Druga, kaleki chudy kikut, ciągle była odsłonięta.

Dorośli, ubrani w zielone i sute mundury, przechadzali się po chodniku, nie zważając na stojące w szeregu dzieci. Duże psy o spiczastych uszach i ostro zarysowanych mordach tuliły się do nóg. — Powinni się przecież bawić — myślała z niecierpliwością Marysia. Ona by z taką chęcią pogładziła wilka po szorstkiej sierści. Nie, nie by się nie bała.

Na schodach rozległy się krzyki kobiet. Drzwi trzaskały. Ludzie biegali w pośpiechu. Dom cały ożywił nagły, niecodzienny o tej porze gwar. Z podwórza ktoś krzychał tubalnym głosem. Przechwili Marysia myślała, że ma wraz z innymi robotnicami powracać z pracy.

Drzwi mieszkania, otwierane, trzas-

nęły nagle. Marysia, chcąc obejrzeć się, nieomal spadła ze stoika. Pulchna i drobna, pani Rena miała włosy w nieładzie. Papierowe paploty wyglądały w ich gęstwie niby unieruchomione białe mumie motyli. Marysia przypomniała sobie cytrynka, który latem wleciał do ich mieszkania. Tak pięknie polatywał w powietrzu. Wydawało się, że jest jednocześnie i tu i tam. Nie można go było pojmać.

Pani Rena chwyciła Marysię w objęcia.

— Szybko, szybko! — krzyżała. — Nakładaj na rączki rękawiczki! Bo gdy cię znajdą w pokoju, zabiją mnie i ciebie. Gdzie masz czapeczkę?! Szybko!

— W szufladzie — wskazała Marysia ręką komode. Była przestraszona.

— Ale mnie nie jest zimno — dodała w nadziei ułagodzenia pani Rena.

Nie zwracając uwagi na słowa dziecka, przybyła wyjęła z szuflady białą futrzaną czapeczkę i nałożyła ją na głowę dziewczynki. — O, mój Boże, — jęczała. — Co oni zamierzają zrobić? Wszystkim dzieciom kazali zejść na dół.

Rozejrzała się bezradnie wokół siebie. Dojrzawszy wiszący na poręczy łózka wełniany szal, otuliła nim mocno głowę dziecka, końce szala wiążąc w supeł na plecach.

— Edzia nie pozwoliła mi wychodzić na podwórze — rzeczowo stwierdziła Marysia.

— Chodź, chodź, nic nie mów — szepotała nieprzytomna ze strachu przybyła.

Wyciągnęła z kieszeni szlafroka kawałek chleba.

— Masz. Schowaj go starannie w mufkę. I pilnuj go. Może ci być potrzebny. Zjesz go wtedy, gdy będziesz już bardzo głodna.

— Ja już teraz jestem bardzo głodna — rzekła z naciskiem Marysia.

— Teraz nie można. Nie ma czasu. Niemcy przyjdą, zobaczą nas w mieszkaniu i zastrzelą. Oni są tacy. Wszyscy mieszkańcy tej ulicy otrzymali polecenie, by ich dzieci zeszyli na dół.

— Po co? — spytała dziewczynka.

— Będziemy bawić się z wilkami!

— Te psy są straszniejsze od Niemców — trzęsła się jak w febrze pani Rena. Nałożyła dziecku rękawiczki.

— A teraz ucałuj mnie, kochanie. Tak jakbyś całowała mamusię. Gdy tylko zejdziesz, będę starała się zadzwonić do Sulca.

— I mama zaraz przyjdzie?

— Może przyjdzie. A może cię dopiero odnajdzie na Umschlagplatzu.

— Na uszaplacu?

— Nic, nic, Marysio. Pamiętaj, nie bać się. Być ostrożną, strzec się psów i Niemców, ale się nie bać...

— Ja nic złego nie zrobiłam.

— Nikt z nas nie złego nie uczynił.

Pani Rena pochwyliła dziecko na ręce i skierowała się z nim w stronę drzwi.

Lecz Marysia zaczęła krzyżeć:

— Nie, nie! — wołała. — Ja nie chcę! Bez kici ja nie chcę!

Na ulicę Marysia musiała wyjść sama. Pani Rena, trzęsąc się jak w febrze, nie chciała opuścić bramy. Nawet nie poźegnała się z Marysią.

W swych filcowych czerwonych walonkach, owinięta ogromnym szalem, dziewczynka stała się podobna do niekształtnego w formie śnieżnego bałwana. Ogromny Niemiec spojrzął na sunący brzegiem chodnika, otulony śmieśniewo kształt.

— Nu, ja — rzekł, poziewając — Los. Trzasnął pejszem.

— Do szeregu.

Marysia nie rozumiała. Ale starszy, może czterastoletni chłopak, ubrany w resztki żydowskiego chałata, wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

— Chodź, wielkoludzie — rzekł. — Bo inaczej oberwiesz.

Chłopiec miał czerwony nos, z którego końca zwisała kropla wody. „Taki duży a jeszcze się smarka” — pomyślała Marysia, patrząc na nieproszonego opiekuna z lekką pogardą.

— Czy będziemy się bawić — spytała. Chłopiec nie odpowiedział. Rozglądał się bystro wokół siebie.

— W co się bawimy? — spytała powtórnie, pociągając chłopca za rękę.

Ten spojrzął na nią z roztargnieniem.

— Tak — rzekł. W łapanki.

— Ja nie znam tej zabawy. Znam tylko w „zjaduj zgadula...”, w „kórki do wynajęcia” i w „chowanego”.

— W chowanego, w chowanego... — Tylko poczekaj.

— Czy ty nie masz chustki?

— Dlaczego?

— Bo twój nos jest mokry.

— O, to nie.

Chłopiec wysmarkał się przy pomocy dwu palców, ocierając je potem o brzeg chałata.

— Ale co ty tu robisz, wielkoludzie? — rzekł nagle. — Ty chyba masz rodziców. Takie ubranie...

— Ja mam mamę. Moja mama pracuje.

— To po cóż tu przyszła? Przecież Niemcy zabierają dziś tylko sieroty.

— Ja nie wiem. To pani Rena, ta z przeciwnika. Myślałam, że będziemy się wszyscy bawić.

— Ładna zabawa. Ale twoim to chyba brakowało rozumu.

— Nie należy brzydko mówić o starszych.

— Ba, kiedy byli głupi.

Dzieci przybywało. Szeregi wydłużały się. Ludzie w zielonych mundurach ciągle chodzili tam i z powrotem po chodniku. Mieli czerwone twarze i grubość osób ubranych w jaegerowską bieliznę. Psy strzasyły uszy, błyksnęły żółtymi oczami, potrzasały ibami. Marysia miała wielką chęć pogłodzić kóre ze zwierząt po grzbiecie. Po pró-

stu podejść i pogłodzić. Lecz przypomniała sobie radę pani Rena.

— Czy one naprawdę gryzą? — spytała, pociągając chłopca za rękę.

— Kto?

— Te psy.

— Głupiasz.

W lapidarnej odpowiedzi chłopca zamknięty był ogrom doświadczenia. Marysia nie umiała go dostrzec.

— Ty sam taki — rzekła, nie chcąc pozostać dłużną w odpowiedzi.

Rozległ się szarpający nerwy krzyk konwojentów. Baty zaczęły trzaskać, psy szczerkać. Szeregi dzieci poruszyły się. Chłopak ubrany w łachmany chałata pochwylił Marysię za rękę.

— Chodź wielkoludzie — mruknął.

— Zaczyna się promenada.

— Ja nie chcę tak szybko... — po chwili rzekła zadyszana Marysia.

— Musisz.

Dziecko dreptało jak mogło najspieszniej. Dziewczynka znajdująca się z drugiej strony Marysi ujęła ją również za rączkę. W ten sposób niemal biegnąc, trochę unoszona w powietrzu, Marysia nadążała za innymi. Bawił ją ten rodzaj podróży. Krzyżała — hop! hop! — Starą się dawać jak największe susy.

Pochód przystawał, ruszał naprzód. Zieloni ludzie wrzeszczeli. Marysia zaczęła się ich obawiać. Starą kryć się za towarzyszami, zamilkła.

— Mama przyjdzie mnie odebrać — rzekła do chłopca, gdy znowu kolumna dzieci przystanąła na chwilę.

— Dokąd, na Umschlagplatz?

— Tak — skinęła głową. Przypomniała sobie słowa pani Rena.

Patrzyła z ukosa na ludzi w zielonych mundurach.

— Ja już nie chcę się bawić — dodała.

— Cicho bądź — mruknął chłopiec, wciąż rozglądając się bystro wokół siebie.

— Ty sam bądź cicho — odpowiedziała z gniewem. — Chłopcy są zawsze niegrzeczni.

Stanął wreszcie na dużym placu, wokół którego odkryte śniegiem domy uginęły się pod białą puszystą kołdrą zimy. Wrzask zielonych ludzi wzmożył się. Niektóre dzieci płakały. Marysia miała także chęć się rozplakać. Była zmęczona i czerwona. I zaczynała się coraz bardziej bać.

— Ja chcę do mamy — pociągnęła chłopca za rękaw chałata.

— Widzisz te wagony? To dla nas — odpowiedział, wskazując palcem podsta wiony na tor pociąg.

Marysia spojrzała. Duże czerwone budy na kołach podsuwały się cicho, groźno w swym milczeniu. Były puste w środku i oblepione śniegiem. Pobrzękiwało żelazo. Wagony poszturchiwały się bezradnie, sunęły coraz powolniej. Wreszcie przeszło przez nie drzenie wzajemnych potężeń. Stanął. Daleko gwizdnęła lokomotywa.

— A my co będziemy z nimi robić? — spytała, otwierając szeroko oczy Marysia.

— Pojedziemy nimi.

— Po co?

Chłopiec wzruszył ramionami. Splunął.

— Nie wiem — rzekł. — Niektórzy mówią, że do pracy. Inni — że na śmierć.

— Ja nie umiem pracować. I nie chcę jechać. Ja chcę do mamy!

— Głupiasz.

— Sam taki.

Pod murami kamienic, w odległości kilkunastu metrów od kolumny dzieci, zaczęli ukazywać się ludzie. Mężczyźni kobiety, szukający rozpaczliwie ratunku dla swych najbliższych. Tłum rósł, wypełniał przestrzeń pod domami, przybliżał się nieostrzeżenie ku stojącym wzdłuż szyn kolejowych szeregom. Chłopiec ubrany w strzępy chałata rozglądał się bacznie dookoła. Jego czerwony i długi nos, z wiecznemi trąjącą u spodu kroplą wody, unosił się do góry niby dziób wytrawnej w podstępach czapli.

— Czy po ciebie też ma przyjść mama? — spytała Marysia.

— Mama nie ma... — wyrzekł z roztargnieniem chłopiec.

Nagle wyrwał się z szeregu i począł biec w stronę zgromadzonej czerniejącej lawy tłumu. Podarty chałat rozchylił mu się na wietrze jak skrzydła. Chude nogi pograżały się w śniegu, króty tu pokryły ziemię grubą piaseczką. Biegający przypominał wronę, nerwowo podskakującą po brudkach pola przed nastąpić mającym wzlotem w powietrze.

W tłumie odezwały się krzyki. Jednocześnie rozległ się ostry postuk serii strażów. Chłopiec zwichnięty w skoku, z całym rozmachem upadł twarzą w śnieg. Poruszył się kilka razy. Poczem znieruchomiał.

Marysia z przerażenia otworzyła usta. Chciała krzyżeć, nie mogła. Spalżona strachem trzęsła się na całym ciele.

— Mama, mama — zdołała wykrztusić.

Dziewczynka, znajdująca się obok, przykućnęła na śniegu.

— Cicho, cicho — szeptała, gładząc Marysię po twarzy. — Przecież już jest po wszystkim, po wszystkim... — powtarzała, sama we łzach.

— Ja nie chcę — szlochało dziecko.

— Ja nie chcę, by go zabijano. Ja chcę do mamy...

— Musisz być rozsądna. I poczekaj aż mama przyjdzie...

Zamieszanie w szeregach rosło. Zieloni ludzie ustawiali grupy po sto dwadzieścia dzieci. Nie szczędzili krzyków i uderzeń pięciami. Zaczęło się zadawonywanie.

Przystawiono do wagonu drabinę. I kolbami zapędzono żywy ładunek do

suchnącego, zięjącego, mrozem wniętrza. Starsi chłopcy i dziewczęta, wdrapawszy się o

# WIELKI SUKCES TECHNIKI AMERYKAŃSKIEJ

W piątek 19 grudnia, o godzinie 0.02 według czasu francuskiego, w Cap Canaverall w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, ktoś nacisnął guzik. W tym samym momencie wyruszyła w przestworza rakietą typu „Atlas”, poruszana silnikiem rozwijającym 30 milionów mocy konskich. Lotem jej kierowano z ziemi: nadawała ona sygnały radiowe, na podstawie których — posługując się elektroniczną maszyną do liczenia, dokonującą 10.000 obliczeń na sekundę — wnoszono odpowiednie poprawki. Po czterech i pół minutach, rakietą, o długości blisko 26 metrów i wadze 3.950 kg — została wprowadzona na orbitę, po której będzie krążyła, w ciągu mniej więcej 20 dni, dookoła ziemi. Odległość jej od naszej planety wynosić będzie od 180 do 1480 km, zaś szybkość przekracza 27.000 km na godzinę; aby okrążyć ziemię, rakietę potrzebuje dokładnie 100 minut.

Nowy satelita składa się z 300 tysięcy poszczególnych części i niesie z sobą mnóstwo różnych aparatów. Nadał on drogą radiową przekazane mu z ziemi orędzie świąteczne prezydenta Eisenhowera:

„Mówi prezydent Stanów Zjednoczonych. Dzięki wspaniałemu postępowi nauki, głos mój dociera do was z satelity, krążącego w przestworzach.

To co chcę powiedzieć jest proste. Chcę wam powiedzieć, że Stany Zjednoczone pragną pokoju na ziemi i ożywione są najlepszą wolą w stosunku do wszystkich ludzi na całym świecie.”

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Amerykanom udało się uzyskać sukces, który z wielu punktów widzenia należy uznać za posiadający wprost olbrzymie znaczenie.

Warto wspomnieć, że w chwili obecnej dookoła ziemi krąży 5 sztucznych satelitów: cztery amerykańskie i jeden sowiecki.

Najmniejszym jest „Vanguard I” — 1 kg 474 gr, którego orbita jest za to najbardziej oddalona (od 653 do 3.614 km) i który według naukowych obliczeń, będzie krążył z szybkością 29.600 km na godzinę — przez dwadzieścia lat!

Nieco większym jest „Explorer I” (13 kg 970 przy 20 cm długości) krążący w odległości od 360 do 2.532 km z podobną szybkością, a którego żywot obliczony jest na 5 lat.

Trzecim co do wielkości jest „Explorer IV” — 16 kg 830, orbita: 262 do 2.210 km.

Na czwartym miejscu jest sowiecki „Sputnik III”, ważący 1324 kg posiadający 3 m 96 cm długości, krążący w oddaleniu od 240 do 1.880 km od ziemi z szybkością maksymalną 27.000 km na godzinę; żywot jego nie przekroczy 7-8 miesięcy.

Rakietą „Atlas” (Amerykanie używają również skrótu S.C.O.R.E.) jest trzy razy cięższa i ponad pięć razy dłuższa; jej jest też znacznie większa; ona pierwsza mogłaby pomieścić załogę ludzką.

Amerykanie zapowiadają w bliskim czasie „nowe niespodzianki”.

Tak czy owak — od dnia 19 grudnia 1958 r. podróżę międzyplanetarną weszły już ostatecznie w fazę praktycznych realizacji.

Staje się możliwym wysłanie w daleką podróż międzyplanetarną człowie-

ka, a nawet kilku ludzi; staje się możliwym zaopatrzenie międzyplanetarnej podróży we wszystko, co jest niezbędne, aby mógł on bezpiecznie powrócić na ziemię; staje się również możliwym skierowanie go na księżyc; — to ostatnie przez nieznaną tylko zwiększenie szybkości; staje się możliwym umieszczenie na nim teleskopu, któryby pozwolił na uzyskanie rewelacyjnych wiadomości o wszechświecie; wreszcie,

może on stanowić bazę obserwacyjną. O politycznej stronie amerykańskiego sukcesu dwa słowa: po sukcesie ze „Sputnikiem III”, Nikita Chruszczow podniósł głos o kilka tonów wyżej i zaczął wszystkim grozić pociskami atomowymi. Po sukcesie z „Atlasem” — prezydent Eisenhower daje wyraz dążeniu do pokoju, zaś prasa sowiecka — jakby nabrała wody do ust.

Czy nie zastanawiające? J.

# Radiofonia Francuska w Domu Kombatanta

Już dawno nie widzieliśmy tak udanej imprezy radiowej w Domu Kombatanta w Paryżu przy rue Legendre, jak publiczne nagranie audycji sylwestrowej, urządzone dnia 17 grudnia br. przez Sekcję Polską Radiofonii Francuskiej i jej kierownika dyrektora André Moosmanna. W wielkiej sali bibliotecznej zarówno serdeczne przemówienie dyrektora Moosmanna, jak też doskonałe występy artystów pol-

skich i francuskich — stworzyły atmosferę sympatyczną, która na pewno posłuży sprawie zbliżenia obu narodów.

Audycja ta w zasadzie miała raczej charakter artystyczny - rozrywkowy. Tym niemniej nie brakowało w niej akcentów poważnych, przy czym trzeba tu wymienić żywcie słowa skierowane za pośrednictwem radia do wszystkich Polaków przez panią Bidault, żonę b. premiera i ministra spraw zagranicznych Georges Bidault, dalej przemówienie deputowanego z departamentu Seine et Oise p. Jean-Paul Palewskiego oraz rozmowę przed mikrofonem redaktora Edwarda Borowskiego z redaktorem Edwardem Fajensem, poświęconą sprawie przeglądu ważnych wydarzeń we Francji w roku 1958. Pani Bidault przeczytała po polsku kilka zdań wyrażających wiarę w przyszłość obu narodów.

Deputowany Jean Paul Palewski w dłuższym przemówieniu po polsku podkreślił wagę wymiany kulturalnej między Francją a Polską oraz wyraził nadzieję, że częste wzajemne wizyty Polaków i Francuzów w obu krajach przyczynią się do lepszego zrozumienia i zacieśnienia tradycyjnych więzów. Dyrektor Moosmann, który zarazem spełniał rolę prowadzącego całą audycję, w swych kilkakrotnych interwencjach nawijał do tej samej nuty w przemówieniach. Redaktor Fajans przypomniał dramatyczne chwile, jakie Francja przeżywała w maju i czerwcu br. i podkreślił wielkie zasługi w dziele uniknięcia wojny domowej, położone przez Prezydenta Republiki René Coty'ego i gen. de Gaulle'a.

Część artystyczną postawiała naprzód pod kierownictwem muzycznym znanego kompozytora Alain Romansa (skomponował on między innymi muzykę do filmu Jacques Tati „Mon Oncle”) i jego muzycznych współpracowników, a występowali w niej przede wszystkim artyści francuscy; następnie zaś przyszła kolej na artystki i artystów polskich.

W krótkim sprawozdaniu nie można wymienić wszystkich, jakkolwiek wszyscy zasłużyli na pochlebne wzmianki. Niewątpliwie największą sensacją dla Polaków, bywających w Domu Kombatanta, był występ słynnego aktora filmowego, poety i śpiewaka Mouloudji'ego, który swą bezpośredniością, pięknym głosem i umiejętnością mówienia wierszy pozyskał sobie od razu sympatię i wielkie oklaski wszystkich zebranych. Szczególnie poemat Jean Cocteau „Joueur de Monte Carlo” — stał się w wykonaniu Mouloudji'ego prawdziwym klejnotem artystycznym.

Wśród pań wielkie uznanie publiczności zdobyła sobie czarująca jak zawsze pani Weronika Bell w swym repertuarze pieśni sentymentalnych do słów Jacka Machniewicza, porywała publiczność niezawodna pani Krystyna Paczewska, dalej pani Wiera Gran, którą oklaskiwano szczególnie za doskonałą melodeklamacją o ulicach Warszawy, pani Tola Mankiewicz z Warszawy w repertuarze pieśni dawnych i współczesnych, wreszcie świetna i dowcipna Nina Oleńska i nierozłączny Ref-Ren. Ten ostatni obok doskonałego „Sputnika” przedstawił w czasie audycji nieznaną dotąd publiczności paryską piosenkę „Porucznik angielski”, nastrojową i wykonaną w sposób mistrzowski. Nina Oleńska dała znakomitą parodię rozmowy „Pani prezesowej z Londynu” ze swym mężem po obejrzeniu filmu „Ariana” z Gary Cooper'em i Audrey Hepburn.

Wśród obecnych zauważyliśmy dyrektora emisji zagranicznych Radiofonii Francuskiej p. Thibault, prezesa Oddziału Rady Jedności Narodowej w Paryżu min. Demideckiego, członków władz SPK z prezesem Czarneckim, wielu dziennikarzy itd.

Po audycji dyrektor Moosmann wraz z członkami Polskiej Sekcji Radiofonii Francuskiej podejmował zebranych na 3-cim piętrze Domu Kombatanta „lampką wina” w atmosferze serdecznej i przyjaznej.

Sądźmy, że imprezy tego rodzaju są bardzo pozytywne i przyczyniają się naprawdę do pogłębienia wzajemnej znajomości obu społeczeństw.

Dr Marya Kastarska W. N.

## ŁAMIAĆ SIĘ OPLĄTKIEM

Dokończenie ze str. 1-ej

Każdy kraj ma własne, odrębne zwyczaje, a Włochy są jeszcze ciągle zlepkiem krajów. Na pewno Sycylijczyk bardziej się różni od Piemontczyka, czy mieszkanka Lombardii, niż Polak od Francuza. I język inny, i kultura inna, i inne zwyczaje.

Bożonarodzeniowe zwyczaje Włoch północnych nie odbiegają wiele od naszych, czy francuskich, czy niemieckich. Natomiast Włochy środkowe i południowe — to już co innego. Jedyną wspólną cechą jest chyba to, że z reguły Włosi w domu nie śpiewają kołęd, zastawiają to chórom kościelnym i wędrownym muzykantom. No i od wieczera czasy wigilijne do północy spędzają czas na grze w „tombola”, znaną u nas pod nazwą „lotto”. W większości domów włoskich przy „tomboli” spędza się cały wieczór wigilijny.

Każdy, kto był w Neapolu, pamięta, że każdy niemal dom, zwłaszcza w dawnych dzielnicach, ma niszę, a w niej posążek Madonny. Jeszcze w adwencie zaczynają obchód miasta wędrowni kobziarze, grając przed Madonnami na prymitywnych korbach różne melodie, a czasami i kołedy. Tacy sami kobziarze obchodzą też ulice Rzymu, prosząc o datki. Są to przede wszystkim pastere gończy, najczęściej z Abruzów. W Neapolu często wyrzuca się kobziarzom jakąś monetę z okna, aby odegrali przed Madonną „novene” na określoną intencję.

Choinka jest rzeczą nową we Włoszech, znaną od niedawna, zwłaszcza szerokiej ludności; nie ma więc ona uroku naszej, ani jej czaru.

Wieczera wigilijna jest podobna do naszej, oczywiście bez opłatka, bez kołęd, ale z rybą, sałatą, „mozzarella in carozza” (rodzaj grzanek, przekładanych serem), owocami, masą słodczy, orzechami, migdałami. Kolacja taka z reguły jest bardzo obfita. Przypomina ona zresztą niemal taką samą kolację, która jest zjadana w wieczór sylwestrowy. A po kolacji — „tombola”, bez względu na stan i na wiek. Po kolacji wigilijnej, kto chce się przejść na pasterkę, może to zrobić zupełnie spokojnie. Ale nie radzę największemu wrogowi wychodzić na ulicę miast włoskich o północy, w wieczór sylwestrowy. Taki spacer może się bardzo łatwo skończyć w szpitalu, jest tu bowiem zwyczaj wyrzucania o tej porze wszystkich starych i zużytych przedmiotów przez okno, na ulicę. Jezdnia na Nowy Rok rano wygląda, jak po bombardowaniu.

Pierwszego dnia świąt Włosi odwie-

dają kościoły, gdzie wystawione są szopki, nieraz artystyczne. Znaną jest taka szopka neapolitańska w rzymskim kościele św. św. Kosmy i Damiana. Po chodzą ona z XIX wieku i jest naprawdę ciekawa i charakterystyczna. Niezależnie kościoły, zwłaszcza w południowych Włoszech; ściągają przechodniów celem obejrzenia swojej przesyłki przy pomocy muzyki, nadawanej przez megafony. I to nie zawsze kościelnej.

Drugi dzień Bożego Narodzenia upływa zazwyczaj na wizytach między najbliższymi, istnieje bowiem przysłowie, do którego Włosi jeszcze się stosują. Brzmii ono: „Natale con i suoi, Pasqua con chi vuoi, co znaczy: „Boże Narodzenia ze swoimi, Wielkanoc z kim chcesz”.

A więc i my, drodzy rodacy, łamiąc się opłatkami wszędzie na świecie, w najbardziej nieoczekiwanych ką-

tach kuli ziemskiej — „Natale con i suoi”...

A sama gwiazda wigilijna, gwiazda betlejemską świeci nam w wieczór wigilijny — wszędzie. W całym polskim świecie. Nad Warszawą, Krakowem, Poznaniem, Wilnem, Lwowem, Wrocławem, Szczecinem. Ale ta sama gwiazda świeci nad barakami i ziemiankami polskimi ześląców w Kofasie, czy na Syberii. I ta sama gwiazda świeci nam nad Rzymem, Paryżem, Londynem, Nowym Jorkiem, Buenos Aires, Pretorią, Sydney. Zwiastuje Dobrą Nowinę. Zwiastuje, że Słowo Ciałem się stało. Zwiastuje Betlejemską Prawdę. Świadczy o zwycięstwie światła nad ciemnością. Świadczy o klęsce zła. Świadczy o zwycięstwie dobra.

Podnień rączkę, Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę milej. Błogosław i nam na wygnaniu. Witold Zahorski

## OPLĄTEK

Dokończenie ze str. 3-ciej

— Waclawa jeszcze nie ma. — Pewnie i nie będzie dzisiaj. Zatrzymał się gdzieś i dobrze zrobił na tę zawieruchę. Przyjedzie jutro za dnia.

Pani Anna skończyła nakrywanie stołu i odwróciła się do męża: — Ale w takim razie będziemy we troje przy stole.

— To niedobrze, rzekł pan Klemens, Trzeba znaleźć czwartego.

— Poczekamy jeszcze trochę. Może Waclaw nadjedzie. Ale wolałbym żeby został w miasteczku, bo mi mówiono, że wilki ukazały się w okolicy. Niedużo ich, ale zawsze...

— Proszę pani, oznajmiła w drzwiach Paulinka, Brygida prosi o rodzynki do karpia.

— To będzie i karp, Aniu? — zawołał pan Stanisław. — Karp sadzony z sosem z rodzynkami?

— Ależ tak. I będzie najpierw szczupak z chrzanem, sandacz z jajkiem, karp i karasie smażone albo w śmietanie. I będą kluski z makiem i kompot ze śliwek i gruszek suszonych.

— A jak ci się udały struclę, Anusiu? — zapytał pan Klemens.

— Ot, jak tako — odrzekła skromnie, wskazując dwie wspaniałe struclę na boczny stoliku. I dodała poważnie: — Nie trzeba zapominać o tym, co najważniejsze, — stawiając na stole największy talerz srebrny z paczką opłatków.

Po chwili spytała z uśmiechem: — Czy mógłby mi wuj powiedzieć, czemu się życzy „dosiego roku”?

— Co prawda i ja sam nie wiem, ale dam ci taką eksplikację, jaką słyszałem. Oto istniała niegdyś pewna pani Dorota, Dosia zwana. Dożyła ona zdrowa na umyśle i na ciele lat przeszło 150 i dlatego życzy się przy opłatku „dosiego roku”.

— Ale bez złego sąsiada, co życie zaturuwa, — dodał uparty Stanisław.

— Wstydy się, mój siostrzeńcze, takich myśli i przy opłatku, który jest symbolem miłości chrześcijańskiej, nadziei i przebaczenia.

— Przebaczenia dla wszystkich, ale nie dla Kowskiego. Ach, żebym go dostał w ręce! Z przyjemnością obciąłbym mu uszy w pojedynku.

I młody człowiek zaczął głośno i mocno pięści.

Prawie w tej chwili zadzwieczyła dzwonił i jakieś sanki zatrzymały się przed domem.

— Dalibóg, to Waclaw! — krzyknął pan Stanisław, biegnąc do sieni.

Lecz we drzwiach natknął się na młodego człowieka wysokiego wzrostu,

w szubie i wysokiej czapie futrzanej. Nieznajomy przestąpił próg i olśniony światłem, mrugał mokrymi powiekami, nie mogąc rozeznac osób ni miejsca. Zjął czapę, pokłonił się dwornie całemu towarzystwu i już zaczął przemówić z prośbą o gościnność: „Wybacz, zacna damo, wybaczenie, panowie bracia, owo nieoczekiwane moje tu wtargnięcie w uroczysty dzień wili...” gdy nagle słowa zamarył mu na ustach: poznał swego sąsiada i najgorszego wroga — imię pana Stanisława Zapolskiego.

A jednocześnie i tamten uprzytomnił sobie, że stoi przed nim sąsiad jego i przedmiot nienawiści, imię pan Jan Kowalski.

Obaj służyli wojskowo, zanim osiedli na roli. I pierwszym odruchem ręka ich sięgnęła do szabli. Ale szabli nie było. I Kowalski był gościem, więc wedle starego obyczaju wios mu z głowy spaść nie mógł. Pan Stanisław modlił się w duszy do Boga, aby go ostrzegł od pokusy i nie dał mu uchybić honorowi.

I stali tak dwaj wrogowie, nic nie mówiąc i patrząc na siebie z gniewem i nienawiścią.

Wtem pani Anna wzięła do rąk opłatek i podeszła do nich. Stała przed Kowalskim i podając mu biały opłatek, rzekła trochę drżącym głosem: — Ojcowie nasi mawiali: „Gość w domu, Bóg w domu”. Witam waćpana, gościu nasz, i życzę mu wszystkiego najlepszego w dniu świętej wili, przy tym opłatku, zgody z ludźmi, pokoju w duszy. Dosiego roku.

Przełamała się z nim opłatkami, który przyjął machinalnie, i z kolei zwróciła się do swego męża: — Niech ci Bóg da wszystko najlepsze, Stasiu, a przede wszystkim pokój duszy, bojaźń Boską i miłość bliźniego. Dosiego roku!

Odstąpiła kilka kroków w tył, dwaj wrogowie zostali znowu sami. Lecz trwało to ledwie sekundę. Pan Stanisław otwarł usta, jakby chcąc coś powiedzieć i wyciągnął rękę. Ale Kowalski uprzedził go i rzucił się ku niemu z otwartymi ramionami. Uściskali się, płacząc, a z tymi łzami sływała stara nienawiść, gorycz i zatwardziałość ich serc.

Gdy kończono wieczerzę, wstał pan Klemens, aby wnieść starożytecki, tradycyjny toast: **kochajmy się**.

— Kochajcie jedni drugich, — rzekł, — bo jeśli niezgoda niszczy wszystkie siły ludzkie, to nie masz takiej mocy, która by się oprzeć mogła miłości braterskiej!

Dr Marya Kastarska

### W ATRAKCYJNYCH SALONACH DOMU KOMBATANTA

20, rue Legendre, — Paris XVII.

odbędzie się dnia 31 grudnia 1958 roku

## WIELKI TRADYCYJNY BAL SYLWESTROWY S.P.K.

POCZĄTEK O GODZINIE 22-ej

Wstęp wyłącznie za zaproszeniami, które otrzymać można w Sekretariacie S. P. K.

DWIE ORKIESTRY — NIESPODZIANKI BUFET OBFICIE ZAOPATRZONY.

UDZIAŁ W KOSZTACH 1000 FRANKÓW.

Rezerwowane miejsca przy stolikach 200 fr. od osoby. Zamówienia na stoliki w kolejności zgłoszeń przyjmuje kierownik Ogniska: WAGRAM 00-45.

### XIV

### KAZIMIERZ IRANEK-OSMECKI

## Bohaterowie podziemnego wywiadu

### WYKRYCIE ZDRAJCÓW

MIEDZY wielu sprawami, które nowy szef wywiadu AK, „Heller” musiał uregulować, sprawą bezpieczeństwa była najważniejsza. Toteż każdego dnia, w lokalu sekretariatu wywiadu obronnego przy ul. Nowogrodzkiej, usunięcie bolączek trapiących oddział było przedmiotem jego narad z „Józefem”.

Pewnego dnia, w końcu grudnia 1943 „Józef” referował sprawę niedawnego aresztowania „Siostry” (mjr. Ottona Pawłowicza), jego łączniczki „Hanki” (Krajewskiego) i „Gensa” (Eugeniusza Świerczewskiego); wszyscy troje pocho dzili z komórki wywiadu terenowego (frontu wschodniego). Okoliczności tej wstępy dawały dużo do myślenia. Aresztowanie nastąpiło na ulicy po spotkaniu się tej trójki w umówionym miejscu. Wywiad obronny otrzymał informację, że „Siostra” i „Hanka” przewieziono na Pawiak, nie znaleziono tam natomiast „Gensa”. Mało tego; „Gensa” w parę dni później widziano na wolności. „Gens”, spalony w 1942, powrócił w jesieni 1943 do służby w wywiadzie. Już od dłuższego czasu miał wyjechać na placówkę wywiadowczą do Dźwińska, gdzie miał łatwość usadzenia się. Zwrócił jednak z wyjazdem,

wymyślając różne, nieistotne przeszkody; on to zażądał spotkania, podczas którego nastąpiło aresztowanie. Ale gdy „Siostra” i Hanka normalnym biegiem rzeczy znaleźli się na Pawiaku, „Gens” pozostał na wolności.

„Heller” zlecił „Józefowi” zebranie wszelkich danych o osobie „Gensa” i, oczywiście, odciecie go od wszelkich kontaktów organizacyjnych do czasu wyjaśnienia sprawy.

Już wkrótce na jednym z następnych spotkań 1944 „Józef” zameldował „Hellerowi” wynik dochodzeń. Były one rewelacyjne.

Oto stwierdzono kontaktowanie się „Gensa” ze swym szwagrem, dawnym oficerem wywiadowczym AK z komórki „Stragan”, „Hanką” (Ludwik Kalkstein), o którym chodziły słuchy, że po aresztowaniu po przez Gestapo w 1942 został stracony. Wiadomość ta była fałszywa: rozpuścili ją zresztą sami Niemcy. Kalkstein żył, był na wolności i stwierdzono jego kontakty z Gestapo. Ustalono też, że Kalkstein pod przybranym nazwiskiem Paul Henchel, za melowany na niemieckie dokumenty osobiste, mieszka w Warszawie, wraz

z żoną Blanką, z domu Kaczorowska. Kaczorowska, dawną pracowniczką „Straganu”, spalona w 1942 na interwencję „Gensa” przyjęto w jesieni 1943 z powrotem do pracy w wywiadzie A, i jako maszynistkę przydzielono do referatu „Julii”.

Mimo iż cały personel „Julii” aresztowało Gestapo przed kilku tygodniami, Kaczorowska-Kalksteinowa pozostawiono na wolności.

Gdy na polecenie „Józefa” jego pracownicy starali się dotrzeć do Kalksteina i „Gensa”, kontaktów tych nie podjęli i wyraźnie zaczęli zacierać za sobą ślady. Zmienił mieszkanie, a zachowanie ich robiło wrażenie, że ukrywają się przed AK.

Zestawienie wszystkich znanych okoliczności i rozpatrzenie losów i powiązań tej trójki dało wynik zupełnie jasny.

Kalkstein, aresztowany przez Gestapo, a później w nie wyjaśnionych okolicznościach zwolniony, nie tylko nie zameldował się w swych podziemnych władz organizacyjnych, ale ukrywał się przed nimi pod niemieckim nazwiskiem utrzymując kontakty z Gestapo.

Kaczorowska, wstępując po spalaniu

z powrotem do służby w AK, zataiła przed swymi przełożonymi, że w międzyczasie zawarła związek małżeński z Kalksteinem. Oszczędzenie Kaczorowskiej przez Gestapo, gdy to ostatnie aresztowało współpracowniczkę „Julii”, miało swoją wymowę. Przy analizowaniu okoliczności aresztowań 10 łączniczek w jesieni 1943 uderzające było, że aresztowania te zbiegły się w czasie z powrotem do służby Kaczorowskiej-Kalksteinowej. Powtórne zbadanie grypsów, nadesłanych z Pawiaka przez aresztowane łączniczki, nasunęło całkowicie uzasadnione przypuszczenie, że aresztowania te nie odbyły się bez udziału Kaczorowskiej.

Podjęte zachowanie się „Gensa” w związku z nakazaniem wyjazdem do Dźwińska; wypuszczenie go na wolność gdy po aresztowaniu z nim „Siostra” i „Hanka” znaleźli się na Pawiaku; wreszcie stwierdzenie utrzymywanie kontaktów z Kalksteinem - Henchlem i jego żoną Blanką — zamknęło krąg już nie podejrzanych, lecz faktów nie budzących wątpliwości. Cała ta trójka pracowała dla Gestapo. Ona to najprawdopodobniej spowodowała większość lub

wszystkie ostatnie aresztowania w centrali wywiadu AK.

Sprawa dojrzała, by skierować ją do Specjalnego Sądu Wojskowego. I tak też zrobiono po uzyskaniu na to decyzji dowódcy AK.

Sąd Specjalny wydał na całą trójkę wyrok skazujący. Karą, wymierzaną wówczas na zdrajców w myśl obowiązującego kodeksu, była kara śmierci. Wykonanie wyroku powierzono egzekutywie wywiadu obronnego.

Odszukanie skazanych nie było sprawą prostą. Co jakiś czas zmieniali mieszkania. Już dwukrotnie odszukano ich w miejscu zamieszkania, ale gdy wszelkie przygotowania do wykonania wyroku były ukończone — znikli, przenosząc się nawet poza Warszawę. Wpra wdzie rozpoznanie ich i odciecie od kontaktów organizacyjnych utrudniło im prowadzenie zdradzieckiego procederu ur, niemniej mogli nadal szkodzić organizacji przez udzielanie wrogowi różnych informacji.

Nadeszła wiosna 1944; jeszcze jednak nie wykonano wyroku. Dopiero w czerwcu tegoż roku jeden ze zbrodniczej trójki — „Gens” czy to nie zdając sobie sprawy, jakie to pociągnie dla niego następstwa, czy też zmuszony do tego przez Gestapo — zgłosił się przez skrzynkę pocztową, prosząc o nawiązanie kontaktu.

Copyright by A. Iranek-Osmecki (Dokończenie w następnym numerze)

# UDANY WIECZÓR

Spośród wielu imprez kulturalnych, które miały miejsce w ostatnich czasach, do bardzo udanych należy zaliczyć „Wieczór literacko-towarzystkowy”, który odbył się w „Sokole” w Paryżu w dniu 30 listopada, a poświęcony był Powstaniu Listopadowemu. Licznie przybyli Rodakowie, wśród których widzieliśmy przedstawicieli Polskiej Misji Katolickiej we Francji, ks. Zalewskiego, konsula Marcinkowskiego, przedstawicieli prasy niepodległościowej, a wśród nich p. Brejską-Nawroczą, która od przeszło roku wznawiała wydawanie „Wiarysusa Polskiego” w Lille, działający wszystkich niemal grup politycznych i organizacji społecznych, w tym grupę członków AK, do której należeli pp. Furka, inż. Kietczyński, a niżej podpisany — powitał serdecznie kierownik „wieczorów literacko-towarzystkowych” red. Ryszard Matuszewski. Przedstawił on następnie program tych imprez, w których występował już m. in. prof. Krawiec, prof. Tyrowicz, konsul Marcinkowski, red. Jerzy Jankowski, prezes Władysław Dąbrowski i M. Werno, a w najbliższej przyszłości mają zabrać głos ks. red. Florian Kaszubowski, p. Ernest Kosmowski i prof. J. Majcherzyk. Następnie red. Wiktor Junosza wygłosił świetnie opracowany referat o Powstaniu Listopadowym. Na podstawie licznych źródeł przedstawiony został plan strategiczny gen. Prądzińskiego, który — jeśli by nie został wykonany przez wprawnych w pokonaniu wroga dowódców tak opieszale i nieudolnie — mógł zmienić losy naszych zmagania z Rosją.

z przypomina Zachodowi, że tam, gdzie jego chata rodzinna — rządzi najeżdżaczami.

Sędziwy prezes „Sokoła” w Paryżu, Władysław Dąbrowski, wręcza Prokopieniu duży medalion z godłem Sokola wykonanym w brązie:



Paweł Prokopieniu.

— To od nas, z Paryża, proszę doręczyć Związkowi Sokolstwa Polskiego kopieniemu duży medalion z godłem Sokola wykonanym w brązie:

## Na utrzymanie cmentarza 1-ej Dywizji Panczernej

W ciągu 1958 r. na utrzymanie cmentarza 1 Dyw. Panczernej w Langannerie

## Gwiazdka dla chorych

Jak co roku, pozwalam sobie przypomnieć o chorych Polakach, inwalidach i kalekach, przebywających w Hospice Bicêtre.

W ostatnią niedzielę każdego miesiąca o godz. 10-tej odprawiana jest msza św. w kaplicy szpitalnej przez ks. kapelana Stawarskiego dla chorych i okolicznych Polaków.

Dzień 28 grudnia poświęcony będzie w całości Polakom przebywającym w szpitalu. Po mszy św., wczesnym popołudniem będzie urządzona gwiazdka z rozdaniem paczek. Na uroczystość tą przyjdą Polacy z Hospice w Creteil i Garches, ażeby przy wspólnym stole w blasku choinki choć trochę rozweleć serca tych, tak bliskich nam ludzi. Na terenie szpitala, z okoliczną Polonią, tworzymy jakby jedną rodzinę, która bierze żywy udział tak w troskach, jak i radości naszej pracy.

Stowarzyszenie św. Wincentego à Paolo ma już za sobą tradycję w opiece nad chorymi i zapomnianymi przez los ludźmi. Wiem z doświadczenia, że serce człowieka jest czule na niedolę ludzką. Prosimy więc o wzięcie udziału w tej skromnej uroczystości.

Zofia Katelbachowa  
Opiekunka Szpitala

z Stanach Zjednoczonych na pamiętkę. I życze Panu zastużonej sławy... Prokopieniu jest wzruszony i ścisła wszystkim ręce. Został w „Sokole” do późnego wieczora. Poznał tam tytu, którym nie był obcy żołnierski i tułaczy chleb. To przecież i dla nich spiewał „Karpacką brygadę”...

Stanisław KALBARCZYK

Zarządy Główne Centralnego Związku Polaków we Francji oraz Federacji Polskich Obrońców Ojczyzny składają za pośrednictwem „Syreny” najserdeczniejsze życzenia świąteczne i noworoczne wszystkim Rodakom zrzeszonym w organizacjach członkowskich i ich Rodzinom.

Zdrowych i Wesółych Świąt Bożego

## Z życia b. wojskowych w Montbéliard

Nowe władze Koła Zw. Rez. i b. Wojsk. w Montbéliard ukonstytuowały się jak następuje:

Ignacy Magier, 12, rue Pasteur, Montbéliard (Doubs) — prezes; Kazimierz Nowosielski — zastępca; Mieczysław Głejzer, 8 av. Carnot, Montbéliard — sekretarz; Stanisław Piekarzowski — zastępca; Henryk Nowakowski — skarbnik; Jan Harchoła — zastępca. Komisja Rewizyjna: Głocko, Torchoła i Sobisz. Poczet sztandarowy: W. Dziedzic, P. Górak i B. Sobisz. Gospodarz Koła: Henryk Nowakowski.

Wszelką korespondencję uprasza się kierować na adres sekretarza lub prezesa.

W dniu 3 stycznia 1959 r. o godz. 17-ej w Café Terminus w Montbéliard Koło urządziło Gwiazdkę dla dzieci swych członków, na którą serdecznie

zaprasza wszystkich członków Koła wraz z rodzinami. Sympatycy Koła będą mile widziani.

Jednocześnie Zarząd Koła podaje do wiadomości członków Koła, że zebranie miesięczne odbędzie się dn. 11 stycznia 1959 r. o godz. 14-ej w lokalu „Café Terminus”. Uprasza się członków o punktualne przybycie.

Za Zarząd Koła: M. Głejzer, sekr.

## ZASZCZYTNE WYRÓŻNIENIE

Wszyscy znamy na emigracji ruchliwe i uczynne Biuro Podróży „Europa” wraz z jego niestrudzonego, zawsze uśmiechniętego i usmiechniętego dyrektorem p. Henrykiem Cywińskim. Wśród podwozi biur i agencji podróży, jakie działają w Paryżu, „Europa” zawsze wyróżniała się i wyróżnia niezwykle staranną obsługą swych różnorodnych klientów. A trzeba dodać, że nie zawsze doświadczenia z agencjami podróży należą do najprzyjemniejszych.

Tym milej stwierdzić, że tego samego zdania o poziomie pracy Agencji „Europa” i jej Dyrektora są nie tylko rodacy, ale również i szersza opinia stołeczna.

Przed kilku dniami, w godzinach popołudniowych biura niewielkiego lokalu, gdzie mieści się „Europa”, zaczęły wypełniać się trochę inną publicznością niż zazwyczaj. — Okazja zresztą nie była jaka. Dyrektor Cywiński w dowód uznania za pracę swego biura otrzymał tego dnia z rąk generalnego dyrektora „Turyzmu Francuskiego”, „Coupe d'or du bon goût français”, jako jedyne we Francji Biuro Podróży w ten sposób wyróżnione.

Laureatowi składamy na tym miejscu nasze szczerze gratulacje.

T. P.

W pierwszą rocznicę śmierci śp. Henryka Skindrowicza odprawiona została za spokój jego duszy msza św. w Kościele Polskim w Paryżu dnia 11-go stycznia 1959 r. o godz. 8 rano, o czym zawiadamiają

ZW. P.O.W.N.  
I PRZYJACIELE ZMARŁEGO

## ŚLĄSK

Trzecia najnowsza płyta „microsilon” 33 obrotowa No. L. 0153 w wykonaniu stutrzydziestoosobowego zespołu pieśni i tańca „ŚLĄSK”. Na płycie tej nagrane są najpiękniejsze i najweselejsze pieśni ludowe ze Śląska a mianowicie:

„DZIADEK — IDĄ GÓRALE — TRZYSTA BUCZKÓW — HANULINKA — NA KOPALNI — FRONCZEK — IDZIE GORNIK — COŚ TAM W LESIE — HAŃ DALEKO — DZBAN — POD MOIM OKIENKIEM

☆ Cena płyty we Francji 2.225 frs. — Za granicą dol. 5. ☆ Płyte wysyłamy za zaliczeniem — płatną przy odbiorze.

„LIBELLA”

12, rue St-Louis-en-l'Île - PARIS-IV

(Metro: Sully-Morland) — Tel. DANton 51-09

## PACZKI ŚWIĄTECZNE DO KRAJU

LEKI · MATERIAŁY · ZYWNÓŚĆ



HASKOBA LTD.  
121 EARLS COURT RD · LONDON · S.W.5

Katalogi wysyła na żądanie oraz przyjmuje zamówienia: ADMINISTRACJA „SYRENY” 20, rue Legendre, Paris XVII.

## KANCELARIA PRAWNA S. OLSNICKI

TŁUMACZ PRZYSIĘGŁY PRZY SĄDACH FRANCUSKICH 106, RUE JOUFFROY — PARIS 17<sup>e</sup>

Metro: WAGRAM. — Tel.: WAGram 88-91

Tłumaczenia urzędowe do ślubów, naturalizacji, sprowadzania rodzin i t. d. Wszelkie sprawy sądowe, cywilne i karne we Francji i w Polsce Pełnomocnictwa

Narodzenia oraz Szczęśliwego Nowego 1959 Roku całemu społeczeństwu polskiemu we Francji i zagranicą, prezesowi i członkom honorowym naszego Związku, Komitetowi Pań, Dowódcom, Oficerom, Podoficerom i Wartownikom Kompanii, instytucjom i organizacjom, ich członkom i pracownikom, polskiej prasie niepodległościowej, duchowieństwu polskiemu, wszystkim ofiarodawcom i sympatykom Związku oraz członkom PZIW — przesyłamy tą drogą jak najlepsze i serdeczne życzenia.

Za Zarząd PZIW we Francji B. Jagielowicz, prezes Z. Cappillieri, sekretarz T. Deszyński, skarbnik

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku Zarząd 7-go Okręgu Zw. Rezerwistów i b. Wojskowych Wsch. Francja składa jak najserdeczniejsze życzenia Zarządowi Głównemu Związku, Zarządowi Kół, wszystkim członkom oraz ich rodzinom.

Życzymy wszystkim wesółych Świąt Bożego Narodzenia oraz szczęśliwego Nowego 1959 Roku, pogody i szczęścia w życiu rodzinnym, sukcesów w społecznej pracy niepodległościowej — dla dobra sprawy polskiej.

Zarząd

## Gwiazdkau Inwalidów Wojennych

Tradycyjnym zwyczajem, Pol. Zw. Inw. Woj. wspólnie z Komitetem Pomocy Gwiazdkowej urządził w niedzielę dnia 11 stycznia 1959 roku o godzinie 15 Gwiazdkę dla członków, ich rodzin i dzieci w Domu Kombatanta, 20, rue Legendre, Paris 17, metro Villiers.

Tą drogą zapraszamy serdecznie przedstawicieli organizacji społecznych, instytucji i osoby współpracujące z naszym Związkiem.

Przypominamy o zgłaszaniu dzieci do lat 12, podając dokładne imię i pięć, nie później niż do 1 stycznia 1959 r. Zgłoszone dzieci otrzymają z rąk delegacji amerykańskiej podarki świąteczne. Obecność dziecka obowiązkowa. Bogaty program artystyczny.

Zarząd Pol. Zw. Inw. Woj. we Francji

## Gwiazdka dla dziatwy szkolnej

Komisja Szkolna Okręgu Paryskiego urządziła dla dziatwy w wieku szkolnym tradycyjną Gwiazdkę w niedzielę dnia 25 stycznia 1959 r. o godz. 15 w sali „Maison du Livre”, 94, bid. Auguste Blanqui, Paris 13, metro Glaciere.

Uroczajony program wypielniony będzie przez poszczególne szkoły niezależnie. Piękna sala pomieści 500 osób.

Komisja Szkolna zaprasza na tę uroczystość dzieci szkolne i te dzieci, których rodzice mają zamiar w najbliższym czasie zapisać do polskich szkół. Apeluujemy do rodziców, aby w terminie do dnia 5 stycznia 1959 r. zgłosili dzieci chcące wziąć udział w Gwiazdce, podając imię, nazwisko i wiek dziecka. Zgłoszenia kierować prosimy na piśmie na adres: Komisja Szkolna, 263-bis, rue St-Honoré, Paris I, Komisja Szkolna

D. DOWOJNA-BIENAIME

## Tłumacz Przysięgły

przy Sądzie 1-szej Instancji i Sądzie Apelacyjnym w Paryżu 23, Quai de la Tournelle, 23 Metro: St-Michel, Pont-Neuf, Maubert PARIS 5<sup>e</sup>. Telefon: ODEon 41-17

## Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych (Extrait Orchitique KALEFLUID)

Używanie naszego wyciągu polepsza na ogół w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Bezpłatnie wysyłamy opis „sposób użycia” po polsku.

LABORATOIRE S. KALEFLUID (Export)

66, Bd Exelmans — PARIS (16) (V.P. 21.331)

## BIURO PRAWNIKA

w PARYŻU Av. Prawa Uniw. Paryskiego, doświadczony emigr. od 1924 we Francji MARIAN JAROSZYK Expert-Tructeur-Jure 34, rue de Maubeuge, 34, Paris 9<sup>e</sup> Telefon: TRU 68-88; metro: Cadet TŁUMACZENIA URZĘDOWE ważne w całej Francji SPRAWY: Metryk, ślubów, naturalizacji, pełnomocnictw na kraj, procesów sądowych, rent wypadków, Dipisów, paszportów, certificat de coutume, podań do Ministerstw, Prefektur, Konsulatów amerykańskich i innych. Pisania z zaufaniem. Natychmiastowe zaliczenie w Paryżu, bez potrzeby przyjazdu.

## POLSKA CUKIERNIA

## „JULIEN”

(POPRAWKO)

25 rue Bosquet, Paris VII. — Metro: Ecole Militaire

Telefon: SEG. 68-27

poleca Swojej Szanownej Klienteli na Święta Bożego Narodzenia i Nowego Roku wielki wybór ciast wszelkiego rodzaju.

STRUCLE, BABKI, PAŹCZKI, FAWORKI, TORTY, BISZKOPTY I MAZURKI

## JEDYNA POLSKA FABRYKA WĘDLIN W PARYŻU

kierowana przez b. kombatantów

## „REX”

ROK ZAŁOŻ. 1929

16, rue des Boucheries, ST-DENIS (Seine). — Tel.: PLA 05-54

Poleca wszystkie wędliny polskie w najlepszym gatunku, wyrabiane przez specjalistów dyplomowanych z Polski. SPRZEDAŻ WYŁĄCZNIE HURTOWA I EKSPORT.

Żądacie wyrobów firmy „REX” w pierwszorzędnych sklepach francuskich i rosyjskich, a szczególnie w jedynym polskim sklepie spożywczym w Paryżu, pod kierownictwem p. LEBIODY

• 4, rue de Fourcy, Paris 4<sup>e</sup>. — Métro: Saint-Paul.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: 20, rue Legendre — PARIS (17<sup>e</sup>)

Telefon: WAGram 00-45. Konto czekowe: C.c. Paris 5507-30 OGŁOSZENIA: 1 cm 1-tamowy 200 fr. W teście 50%, na 1-ej stronie 100% drożej. DROBNE OGŁOSZENIA: Poszukiwania pracy: 150 fr. za 3 wiersze, za każdy dalszy 40 fr. Zaufanie pracy: 250 fr. za 3 wiersze, za każdy dalszy 50 fr. Kupno-sprzedaz: 350 fr. za 3 wiersze, za każdy dalszy 50 fr. Matrimonialne: 400 fr. za 4 wiersze, za każdy dalszy 50 fr. - Rekopisów Redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń Redakcja nie bierze odpowiedzialności. ● PRZEDSTAWICIELSTWA: Francja Północna: Inż. Eugeniusz Tuszewski, 107, rue Royale, Lille (Nord), tel. 558-50. Dep. Bouches-du-Rhône, Var, Vaucluse: Stefan Horodyski, Ecole des Filles, La Penne sur Huveaune (Bouches-du-Rhône). Belgia i Luksemburg: Mme Janina Korab-Brzozowska Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, c. c. p. 73 15 20. Wielka Brytania: Zarząd Gł. SPK (dla „Syreny”), 18-20 Queen's Gate Terrace, London S.W.7, gotówka lub Postal Order. Szwajcaria: Mr. Janusz Rokowski, Mainaustr. 28, Zurich 1. Stany Zjedn. Ameryki Półn.: Gryf Publications 615, Henry Str. Utica, N. Y. ● WARUNKI PRENUMERATY: We Francji: kwartalnie 350 fr., półrocznie 650 fr., rocznie 1.200 fr. W Belgii: kwartalnie 50 fr., półrocznie 95 fr., rocznie 180 fr. W Wielkiej Brytanii: kwartalnie 8 sh., półrocznie 15 sh., rocznie 1 £ 8 sh., numer pojedynczy: 4 str. - 6 d., 6 str. - 9 d., 8 stron - 1 sh. W Szwajcarii: kwartalnie 4 fr.szw., półrocznie 7,50 fr.szw., rocznie 14,50 fr.szw. W Niemczech: kwartalnie 5 DM., półrocznie 10 DM., rocznie 20 DM. W innych krajach: kwartalnie 400 fr., półrocznie 750 fr., rocznie 1.400 fr.